BIESIADA LITERACKA

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 22—596. Redakcya: Chmielna, № 26. **Warszawa, 3 czerwca 1887 r.** 22 maja 1887 r. **Tom XXIII.**

Z WARSZAWY.

Cuda, jakie się dzieją na wystawie hygienicznéj.—Energiczne powitania i pełne podziwu wykrzykniki. — Niepraktyczność napisu na szyldzie kuchni tanich.— Narzeczeni przy garnkach, rądlach i t. p. — Moje myszkowanie. — Wielki apetyt i mała zapłata.—W obronie rosołu, pieczeni i jarzyn.—Warszawa ma dwa cyrki i dziesięć tysięcy dzieci głodnych i nagich.— Kolonie letnie.—Kto pomaga.—Nieszczęście w Paryżu. — Kto najpierw powinien nieść pomoc paryzkiéj niedoli.

I dziś jeszcze i pojutrze zawadzę o wystawę hygieniczną, ponieważ mam zwyczaj w czasie wiosny robić zapas zdrowia na rok cały: na mdlejące lato, płaczliwą jesień i skostniałą zimę. A żadna wystawa warszawska nie była tak wesołą a więc tak zdrową jak hygieniczna— po tygodniu bywania na niéj śledziennik zdobywa się na koncepta, choleryk dostaje rumieńców, melancholikowi śmieją się oczy, choremu na brak apetytu wszystko smakuje. Każdemu z nich zdaje się, że połyka garściami zdrowie; apteki, szpitale, bańki, pasożyty a nawet wścieklizna, podane na hygienicznéj tacy, nęcą jak Zosię z zaścianka nęciły jagódki. Widziałem sensatów wychodzących w podrygach ze szpitala, a poważny radca Z. tak się rozochocił, że chciał gwałtem przywdziać kostium nurka i zanurzyć się w basenie; tylko żona powstrzymała go od tego ekscesu, pociągając za połę i szepcząc do ucha memento: Teofilu, dygnitarzem jesteś!

Na wystawie dzieją się cuda: pan Saturnin, który nawet w lipcu chodzi w kaftaniku i wełnianego szalika nie zdejmuje nigdy, nagle wydekoltował się zobaczywszy skład ciała ludzkiego na rysunkach i w obliczeniach; — dotychczas biedak myślał, że składa się z saméj gliny i cukru, demonstracye naukowe przekonały go, że posiada w krwi, w mięśniach i kościach taką dozę metalów, iż śmiało może się zwać księciem żelaznym. Pan J., bywalec resursowy z przed czterdziestu laty, przypomniał sobie śliczne czasy i przeskakiwał z trawnika na trawnik jak konik polny, chociaż leczy się od roku na reumatyzm w kolanach i nogi powłóczy za sobą, niby lis ogon po chybionéj wyprawie. Na wszystkich twarzach widzisz zadowolenie z siebie i ze świata, głowy wszystkie do góry, oczy pogodne, ruchy elastyczne — każdy drwi sobie z choroby i z uśmiechem przysłuchuje się wykładom niestrudzonego d-ra Bujwida, który opowiada o strasznych spustoszeniach, jakie sprawia zarazek. „Bakterya, wścieklizna, cholera, karbunkuł... imają się tylko chorych a my zdrowi! zdrowi! zdrowi!"—powtarzają rozweseleni, przytupując w takt ogniowéj orkiestrze strażaków i kujawiakom skomponowanym, od ręki na cześć Warszawy, przez lubelską drużynę.

„LUTNIA WARSZAWSKA".

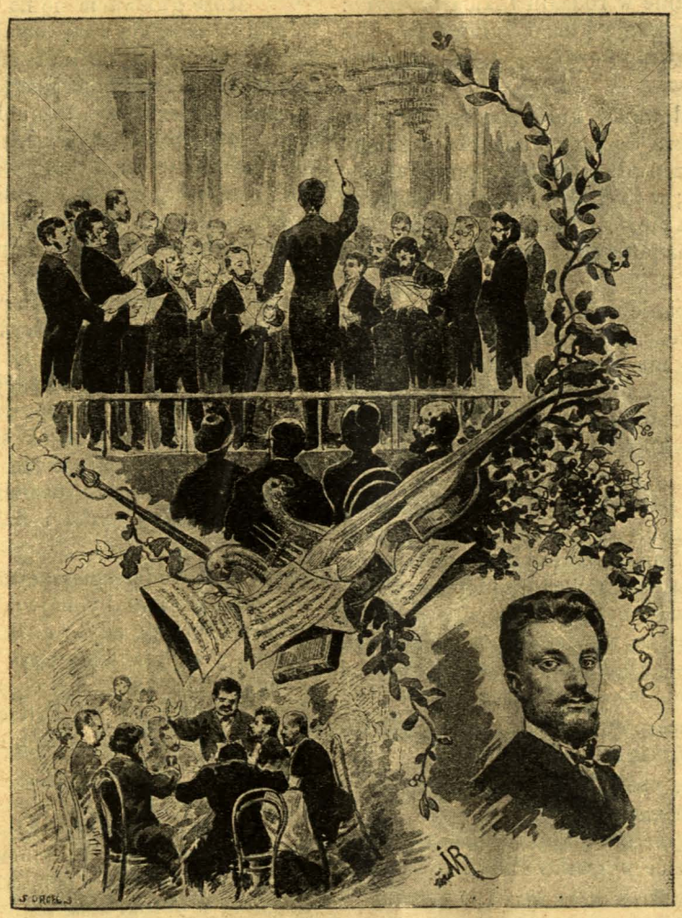

Koncert w Resursie Obywatelskiéj.
Uczta koleżeńska. — Piotr Maszyński, założyciel i dyrektor „Lutni".

Dopiero od lat kilku zaczęły się tworzyć kapele włościańskie, a już dziś chłopkowie lubelscy, uczniowie p. Namysłowskiego, popisują się w Warszawie i chętnie są słuchani; dopiero od roku mamy orkiestrę strażacką a już nie potrzebujemy zazdrościć zdolności czechom, chociaż każdy czech przychodzi na świat ze skrzypkami pod pachą; Lutnia żyje dopiero kilka miesięcy a już mogłaby konkurować z zagranicznemi towarzystwami śpiewackiemi. Mamy więc wszystko cośmy mieli—t. j. zdolność do wszystkiego, a nadto mamy ludzi, którzy z tych zdolności potrafią tworzyć siłę oporną przeciw cudzoziemczyźnie, dając duszy piosnkę, co się po naszemu śmieje i płacze.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Karol hr. Chodkiewicz zmarły w Neapolu, spoczął w Jampolu wołyńskim, w grobach familijnych. Na wdzięczne wspomnienie i żal szczery zasłużył sobie najzacniejszém sercem i uczynkami godnemi potomka znakomitych przodków, dobrego sąsiada i chrześcianina. Zdarzało się nieraz, że aby wyratować sąsiada oddawał swój ostatni zasób gotówki a nie mając jéj pod ręką, zapożyczał się dla innych. Pogorzelcy lub dotknięci nieurodzajem znajdowali w nim zawsze pomoc; pytał tylko czy nieszczęśliwy jest uczciwym człowiekiem. Błogosławią go zarówno sąsiedzi intelligentni i włościanie, którzy cenią ludzi nie z zamiarów ale z czynów spełnionych. *T. R.*

Ludwik Wolski, zdolny prawnik, poseł na sejm, do austryackiéj Rady państwa, w młodości swéj literat i poeta, czynnym był na wielu polach pracy obywatelskiéj. Śmierć jego, która nastąpiła w Wiedniu, uczyniła dotkliwą szczerbę pomiędzy intelligencyą galicyjską.

Koleżeństwo. Z powodu ogłoszonego w kuryerach zaproszenia na zebranie koleżeńskie wychowańców b. gimnazyum realnego z lat 10-ciu, t. j. od r. 1846 do 1856, otrzymaliśmy protest „Realniaków", który umieszczamy, podzielając zasadę w nim przyjętą.

„Zgadzamy się w zupełności z opozycyą, zamieszczoną w „Dzienniku dla wszystkich", przeciw zwoływaniu na koleżeńskie zebranie realniaków z lat 10-ciu, ponieważ koleżeństwo jest zależném od przekonań i dążności. Trzeba cenić mundur w jakim samemu się chodziło, trzeba bronić dobréj sławy zakładu, który nas wychowywał, ale niepodobna ręczyć za to, że wszyscy co też same ławki zasiadali, poszli drogami wiodącemi do jednego celu. A jeżeli koledzy z lat 10-ciu nie zrozumieją się duchowo, jeśli obcy dla siebie z nazwiska i fizyognomii, obcy są także pod względem przekonań, to cóż za korzyść lub przyjemność będzie ze zbliżenia? Uścisnąć rękę druha to rzecz wielce przyjemna, ale aby być druhem prawdziwym, trzeba serce dać za serce, trzeba spólnie cieszyć się, cierpieć i... budować zamki na lodzie. Koledzy z lat 10-ciu mogą się szanować wzajemnie, mogą biesiadować przy jednym stole, jeśliby szło o uczczenie spólnego ich nauczyciela, ale niepodobna żądać od nich otwartości, zwierzeń i wspomnień żywo poruszających serce. Być może, iż ludzie obcy sobie duchowo odrazu by się zrozumieli—wówczas chwała szkole, która wszystkich swoich uczniów na jednę modłę urobiła; lecz jeśliby obcy przed ucztą, pozostali dla siebie obcymi i po uczcie — to zawód byłby przykry a zamiast uciechy odczarowanie. Lepiéj więc nie próbować."

Realniacy.

List oficyalisty gospodarczego. P. Rafał Dr. z nad Zbrucza nadesłał nam smutny opis losu oficyalistów gospodarczych. Bez złorzeczenia ani zazdrości, przedstawia on opłakane położenie ludzi będących podwaliną pomyślności rolnictwa; zarazem w imieniu licznego grona swych kolegów dziękuje tym, którzy w artykułach dziennikarskich i na zebraniach przypominają społeczeństwu pracowników, bez których wóz rolniczy toczyć się nie może, oraz dziękuje serdecznie studentom szkoły agronomicznéj w Nowéj Aleksandryi za ich nagrodę konkursową, przeznaczoną dla najlepszego wypracowania na temat: jak zabezpieczyć starość oficyalistów gospodarczych, ich wdów i sierot. Na niedolę oficyalistów i brak dla nich zajęcia wpływają głównie następujące przyczyny: wydzierżawianie majątków ludziom, którzy prowadząc gospodarstwo rabunkowe, obywają się byle jaką pomocą a porządnego oficyalistę uważają za rujnujący zbytek; wielkie uposażenia administratorów, komisarzy, dyrektorów rolniczych i fabrycznych, którzy zabierając prawie cały dochód z folwarków i fabryk starają się oddać dziedzicowi to tylko, co oszczędzą na uposażeniu oficyalistów niższych; kiedy administrator bierze rocznie jakie 15, 20 tysięcy rubli i pańskie wygody, ekomon najlepszy, obarczony rodziną, dostaje 150 do 200 rs. rocznie i lichą ordynaryą; trzecią klęską dla oficyalistów jest obdłużenie majątków i szukanie sposobów natychmiastowego ratunku, a więc ten ma pierwszeństwo, kto posiada spryt jak dostać pieniędzy, jak wierzyciela wyprowadzić w pole lub ułagodzić, jak robociznę opłacić gorzałką lub innym prezentem; oficyalista zaś który umie i chce pracować systematycznie, zna się na roli i inwentarzu, boi się kredytu dopóki stare długi nie są spłacone — pozostaje bez miejsca. Gorzkie to prawdy ale prawdy; ludzie uczciwi a mądrzy, których nam nie brak jeszcze, powinni coprędzéj znaleźć na to lekarstwo. Proletaryat przerażająco wzrasta; każde prawie miasteczko jest przytuliskiem rodzin oficyalistów bez zajęcia. Coza straszne jutro ich czeka!

Z Krakowa. Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności jest dla Krakowa zawsze uroczystością, która wonności swoje rozsyła na kraj cały, wpatrzony w najwyższą instytucyą naukową z czcią, wdzięcznością i szlachetną dumą. I w tym roku posiedzenie otaczał blask bijący od mężów, którzy Akademii służą i od dzieł ich, które bez téj opieki nigdyby może nie zbogaciły naukowości i literatury polskiéj. Akademią reprezentowali: hr. Alfred Potocki, d-r Majer, St. hr. Tarnowski i prof. Rostafiński. Do publiczności należeli dostojnicy kraju: hr. J. Tarnowski, ks. biskup Dunajewski, ks. biskup Krasiński, Zborowski, Jasiński, Popiel, hr. Borkowski i inni. Zagaił posiedzenie hr. A. Potocki oddaniem hołdu mężom, których niedawno postradaliśmy: ks. W. Kalince i Kraszewskiemu. „Wszyscy z bolesném uczuciem żalu — słowa hr. A. Potockiego — spoglądamy na miejsce, na którém zasiadała w gronie naszym przezacna, szlachetna postać w skromnéj zakonnéj sukni, wydarta naszéj instytucyi, wydarta uczonemu światu i całemu społeczeństwu naszemu, przez śmierć tyle przedwczesną! W ks. Waleryanie Kalince ubywa nam więcéj niż znakomity człowiek, więcéj niż ozdoba téj Akademii: ubywa nam dzieło, którego już dokonać nie mogła pracowita dłoń niepospolitego badacza, ale którego już wykonana część, sama przez się, jest wspaniałym pomnikiem zmarłego, tak jak jest drogoskazem i słupem granicznym nowéj epoki w badaniu i krytyce najbardziéj pouczającego okresu naszych dziejów. Siłę i jasność tego ducha o tak szerokim horyzoncie, wysoki dar sztuki pisarskiéj, bystrość jego krytyczną, a już przedewszystkiem mądrą miarę i sprawiedliwość historyczną, ocenią lepiéj i wymowniéj powołani bardziéj ku temu—ja poprzestaję tylko na tych kilku słowach rzewnego hołdu.

„Drugiemu członkowi Akademii naszéj, który wielostronnością talentu i fenomenalną siłą twórczości należał do najwybitniejszych postaci w literaturze polskiéj, a żywotem objął prawie całą jednę epokę, oddaliście świeżo cześć pośmiertną w starożytnym tym grodzie, składając zwłoki jego w grobie zasłużonych".

Mówca szukając pociechy po tych stratach, znalazł ją w pracach Akademii, która nie pozwoli zmarnieć ziarnu rzuconemu dłonią tych, co sami plonu doczekać się nie mogli.

Po prezesie zabrał głos St. hr. Tarnowski, który jako sekretarz jeneralny odczytał sprawozdanie z ruchu naukowego Akademii, a przedtem wypowiedział serdeczne, rzewne, w krasomówczą jak zwykle formę przybrane wspomnienie o zmarłych członkach Akademii. Następnie prof. Rostafiński odczytał rozprawę p. t. „Polska z czasów przedhistorycznych pod względem fizyograficznym i gospodarskim" a sekretarz przedstawił nowych członków Akademii, oraz zdał sprawozdanie z konkursów.

Poraz pierwszy z fundacyi imienia Piusa Barczewskiego zostały przyznane nagrody; — fundacya czcigodnego obywatela jest hojna ale ofiarodawca może być zadowolonym z dzieł, które

nagrodzono: nie trzeba się było ratować miernościami — były pod ręką dzieła wielkiego talentu i głębokiéj nauki. Laureatem został Matejko za „Dziewicę Orleańską", i ks. Kalinka za „Sejm cztoroletni", a że zmarły nagrody przyjąć nie mógł, oddano ją R. Hubemu za jego „Prawo polskie w w. XIV".

Na tém zakończyła się uroczystość majowa.

Burze i nasze czytelniczki. „Wszechświat" służąc wytrwale raz obranym celom, pracując dla naszéj młodzieży, która nie ma sposobności a pragnie poznać naukowy język polski, znowu wezwał do spólnéj pracy czytelników swoich, prosząc o wiadomości dotyczące ostatniéj burzy gradowéj. W opisie należy zamieścić następujące wiadomości: 1) Nazwę miejscowości, powiatu i gubernii, gdzie obserwacya była robiona. 2) Czas rozpoczęcia burzy i trwania spadku gradu. 3) Jeżeli można, wielkość pojedynczych ziarn gradowych, ich kształt i budowę. 4) Kierunek, w którym postępowała burza, przyczém pożądaną byłoby rzeczą wymienienie wsi sąsiednich, w których grad padał, a także i tych, w których grad nie padał, z wykazaniem, o ile możność pozwoli, szerokości pasa, w którym zrządzone przez grad zniszczenie było największe. 5) Wszelkie zresztą inne wiadomości o zrządzonych szkodach i okolicznościach towarzyszących burzy, które piszący uzna za ważne i za których autentyczność ręczy. 6) Nakoniec podpis podającego obserwacyą.

To na ten raz a na przyszłość są proszeni o przesyłanie do redakcyi „Wszechświata", lub do stacyi meteorologicznéj przy „Muzeum Przemysłu i Rolnictwa", wiadomości o wszystkich burzach gradowych i innych wydarzających się w naszym kraju. Popierając wedle sił swoich zacne usiłowania „Wszechświata", prosimy nasze czytelniczki aby powyższéj prośbie zadość uczyniły. Udajemy się do czytelniczek nie do czytelników, ponieważ dotychczas szemata dla „Wszechświata", jakie przechodziły przez nasze pośrednictwo, wypełnione były przeważnie ręką kobiecą a wątpimy, żeby za dyktandem panów mężów lub braci. Mężczyzna albo oddaje się nauce szczerze, albo nie chce jéj znać wcale; kobieta zaś potrafi być zawsze pożyteczną spółpracowniczką. O ile dyletantyzm w muzyce lub konnéj jeździe jest nieznośnym, o tyle w takich zajęciach jak zapisywanie zjawisk meteorologicznych i innych przyrodniczych zasługuje na zachętę. Szanowne czytelniczki chwytajcie burze, pioruny, wichry, wylewy, gwiazdy spadające... chwytajcie na papier i adresujcie do „Wszechświata", do „Muzeum" lub do nas.

MIECZ i DYPLOMACYA. Najniebezpieczniejsze hasło—zdrada—rozlega się po dziennikach francuzkich. Jedni zarzucają zdradę prezydentowi Grévy'emu, porównywając go z historycznymi zdrajcami Francyi; inni zdrajcą nazywają jenerała Boulangera, przypisując mu cele ambitne — dyktaturę. Takie hasła to już nie iskry, to płomień, który ogarnia dach rzeczypospolitéj. Tymczasem ani prezydent ani jenerał zdrajcami nie są, tylko że się nie dobrali: jeden zanadto bierny, drugi zanadto samodzielny — a obaj nie wiedzą na czém silny rząd polega. Od takich posądzeń jeden krok do brukowych kamieni, a chociażby do tego nie przyszło, Francya daje gorszący widok wojny domowéj w chwili, kiedy nieprzyjaciel siedzi na karku. Na karku rzeczypospolitéj siedzą stronnictwa zagryzające się wzajem, siedzi i prusak; aby taki ciężar dźwignąć, trzeba zgody nie dwóch ale wszystkich.

W pałacu sułtana —podług „Ajencyi Półn."—odkryto spisek na korzyść syna Murada. Sułtan dzisiejszy miał być strąconym; spiskowcy są pochwyceni. Intryga serajowa długo spała, dłużéj niż wypadało na państwo przyzwyczajone do wstrząśnień gwałtownych. Sami turcy dziwili się temu dziwnemu spokojowi: „Tylko umarli nie sieją śmierci, a więc już umarli jesteśmy?" pytali się wzajem wyznawcy Proroka.

Allokucya Papiezka, wygłoszona na ostatnim konsystorzu, mówi o pojednawczym duchu, który Stolica Apostolska pragnęłaby utrzymać w stosunkach ze wszystkiemi narodami. Do tego pojednania napomina po ojcowsku Najwyższy Pasterz kraj swój ukochany Włochy, radząc mu aby sporu swego z Papieztwem zaniechał i dążył do takiéj zgody, któraby dała Papieżowi rzeczywistą swobodę a nie umniejszyła potęgi Włoch. Taki stosunek—wedle słów Ojca Świętego—przyczyni się znakomicie do pomyślności kraju, o którego znaczenie dba serdecznie dzisiejszy więzień watykański. Czy wezwania, na które każdy szczery patryota włoski, bez względu nawet na wyznanie, powinien się zgodzić, usłucha senat dzisiejszy, złożony z mieszanych żywiołów?

Wystawa. Arcyksiążę Rudolf przyjmując ofiarowany mu protektorat nad krakowską wystawą przemysłowo-rolniczą, uprzejmie podziękował za ten zaszczyt i przesłał Komitetowi życzenie, aby wystawa pomyślnie wpłynęła na rozwój przemysłu galicyjskiego. Kraków zapewniony o odwiedzinach dostojnéj pary, przygotowuje się na jéj przyjęcie, nie żałując pieniędzy. Illuminacye gmachów, wieży Panny Maryi, Wawelu, Sukiennic i kopców wspaniałą łuną zaleją Rynek, Planty, Błonia.

Świątynia węgierskiego Janusa zamknięta ale każdéj chwili może być otwartą, jeśli tego wymagać będą godność i bezpieczeństwo monarchii austro-węgierskiéj. Tymczasem żołnierze gotowi drzemią u stóp ołtarzy. Taka jest treść mowy od tronu, przy zamknięciu sejmu węgierskiego. Mowa opiewa zadowolenie z wewnętrznéj zgody, nazywa bohaterstwem ofiarność wszystkich ludów monarchii z mienia i życia na cele obrony kraju, która jest gotową jeżeli pokój jak piskorz wyśliznie się z rąk dyplomacyi.

Blizko stuletni cesarz niemiecki rywalizuje z przeszło stuletnim chemikiem francuzkim. Między nimi ta tylko różnica, że Chevreuil dokazuje cudów w laboratoryum a cesarz Wilhelm na placu mustry. Starzec uczony codziennie musi zajrzeć do retorty i podpatrzeć jakiś nowy związek; starzec monarcha codziennie słucha raportów wojskowych i coraz częściéj odbywa przeglądy wojska.

LISTONOSZ NA WELOCYPEDZIE.

Welocyped, z początku zabawka, prędko wyrósł na poważną osobistość, z którą jak z dalekonośną armatą albo szybkolotnym gołębiem rachować się trzeba. Z dwukołowych wyrosły trzy, cztero i t. d. kołowe; z popychanych nogą—maszyny parowe ścigające się z lokomotywami kolejowemi; dziś mamy mnóstwo systemów welocypedowych a setki inżynierów zajmuje się ich ulepszaniem i zastosowaniem w praktyce.

Angielskie stowarzyszenie cyklistów stanowi już rodzaj ministeryum i wkrótce stanie się potęgą jak prasa; ma ono rozgałęzione stosunki po całym świecie, wydaje gazetę, sprawozdania, wysyła ajentów i delegatów do zawiązywania stosunków z kolegami z pod jednego znaku. Jednym z wiceprezesów i delegatów jest nasz rodak p. Fr. Biskupski, który odbywa podróże od klubu do klubu, przerzucając się ze Stambułu do Sztokholmu, z Lizbony do Moskwy, ze Lwowa do Kairu, z Warszawy do Genewy i t. d. Obowiązkiem delegata jest badanie wszystkich szczegółów urządzenia klubów, liczby członków, zastosowania praktycznego, czy cykliści hołdują zabawie jedynie, czy też i pożytkowi. Taki delegat ma obowiązek wypróbować osobiście każdy nowy system, napotkany w swéj podróży; ogromne przestrzenie odbywa na koniu kołowym, unikając o ile możności komunikacyi kolejowéj i wszelkiéj innéj. Stowarzyszenie cyklistów angielskich wyrobiło dla swych członków różne przywileje, między innemi obniżkę cen na kolejach i w hotelach.

Mieliśmy sposobność zetknąć się w drodze z p. Fr. Biskupskim; delegat-inżynier opowiadał nam wrażenie, jakie na nim zrobił klub cyklistów warszawskich — wrażenie nie bardzo pochlebne dla naszych kołowych sportsmenów. Zgorszony był przedewszystkiem używaniem w rozmowie między sobą języka francuzkiego; delegatowi zdawało się, że jest między cudzoziemcami. Téj anomalii nie spotkał w żadnym kraju a zwiedził ogromny szmat świata i słyszał chyba wszystkie języki; tego lekceważenia ojczystéj mowy nie zniósłby przedewszystkiém anglik, który nawet na bicyklu umie być sobą. Klub warszawski należy do tych, którzy z jazdy na welocypedzie nie ciągną żadnego poważniejszego pożytku, oprócz przyjemności, jaką daje ściganie się z wiatrem.

Po Anglii największą korzyść osiągnęła z welocypedu Belgia, a raczéj jéj stolica, którą listonosze przebiegają na kołowym koniu i szybciéj doręczają wiadomości niż telegrafy, których raporta trzeba rozpisywać, pieczętować i rozsyłać. Firma „Turner et C-om." urządziła konkurs bicyklów i tricyklów, na 100 kilometrowéj odległości; zaproszeni na ten turniéj minister

poczt i telegrafów, oraz minister wojny, uznali nadzwyczajne korzyści z zastosowania téj lokomocyi do praktycznych celów. Poczta już z niéj korzysta; widzimy na naszym rysunku listonosza, który jak nowożytny Merkury wiezie złe i dobre wiadomości, różne nadzieje i gorzkie odczarowania.

W jaki sposób minister wojny zużytkuje welocyped, o tém nie wiele powiedzieć można;—Belgia odegrawszy na polu przemysłu europejskiego pierwszorzędną rolę, na polu wojennem może być tylko pionkiem, który opierając się czas jakiś, w końcu musi pójść tam, gdzie go silniejszy popchnie. Tę rolę Belgia rozumie, nie rwie się też do wynalazków wojennych, w téj chwili mając aż nadto kłopotu z anarchią, którą zgotowały najdzielniejsze jéj siły, kwiat jéj przemysłu, ale niestety kwiat z wychudzoną łodygą, z oberwanemi liśćmi i podgryzionym korzeniem – biedni robotnicy. Z pułkiem uzbrojonych cyklistów Belgia na polu wojennem nie wystąpi; jéj Merkury przemysłowy nie zostanie doboszem.

Al. Tur.

DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKĘ „LORDA ERLISTOUN"

przekład z angielskiego J. S.

(*Dalszy ciąg.*)

Mimo tych zalet był jednak trochę uparty i lubił mieć własną wolę; niczém naprzykład nie mogli go skłonić, żeby był z nimi w Tawton Abbas i przez dwa lata ani razu nie przestąpił progu pałacu. Zresztą sami państwo Trevena niezbyt często tam bywali; Zuzanna nic nie miała wspólnego z tą światową, rozbawioną damą, która nad wszystko lękała się starości; Karol zaś był zbyt schorowanym i zobojętniałym, żeby módz stanowić przyjemne towarzystwo dla uczonego profesora. Zauważyli przytem, że się bał żony, która mało na niego zwracała uwagi, bywała często w Londynie i zapraszała do siebie mnóstwo gości ze stolicy. Nikt nie wiedział z jakiéj ona pochodzi rodziny, ale ponieważ mówiła po angielsku z lekkim cudzoziemskim akcentem i znała kilka obcych języków, zawyrokowano, że musi być cudzoziemką. W ogóle jednak nie budziła w sąsiedztwie sympatyi i choć mężczyźni bardzo chwalili jéj urodę, dziwiono się, a nawet gorszono, że w tym wieku i mając chorego męża, tak dba o rozrywki różnego rodzaju.

Niewiadomo, czy lady Damerel wiedziała, jakie o niéj miano zdanie, w każdym razie mało się o to troszczyła. Co rok na Boże Narodzenie wyprawiała bal dla dzierżawców, a w lato zabawę w ogrodzie dla sąsiedztwa, bywała co niedziela w kościele, zresztą mało ją widywano.

— Jak tam smutno i pusto musi być w tym wielkim pałacu, kiedy goście się rozjadą i oni oboje zostaną sami — rzekła raz pani Trevena — pójdę chyba do Tawton Abbas i wezmę Nellę z sobą.

Były to właśnie święta Bożego Narodzenia i Nella na kilka tygodni przyjechała do stryjostwa. Lady Damerel przyjrzała się przez binokle cichéj, niepozornéj dziewczynce i, zwracając się do pani Trevena, zapytała:

— Zapewne pani córka?

— Nie, to moja synowica. Mam tylko jednego syna, którego widujesz pani niekiedy w kościele.

— A tak, przypominam sobie, ładny, wysoki chłopiec z jasnemi włosami. Musisz go pani kiedy tu przyprowadzić. Twoja stryjenka, panno Trevena, szczęśliwszą jest odemnie — moje dzieci nie żyją.

Powiedziała to spokojnie, bez cienia żalu albo smutku, a potem zaczęła opowiadać o nowéj operze, którą widziała w Londynie. Nella wróciwszy do domu rzekła sobie, że kuzynek Artur miał słuszność nazywając lady Damerel piękną ale bardzo niemiłą osobą. Chłód grobowy wiał od téj kobiety.

Nella już była w tym wieku, że można z nią było mówić o zamiarach, jakie ma na przyszłość. Drobne zawsze i ciche dziewczątko, objawiało jednak rzadki charakter i niepodległość ducha. Wiedziała, że nie ma innego majątku prócz pierścienia brylantowego, innych przyjaciół oprócz panny Grogan, któréj słabe zdrowie długiego nie rokowało życia. „Będę nauczycielką"— mówiła spokojnie, zupełnie pogodzona z losem, a choć była bardzo wdzięczną stryjostwu za doznane dobrodziejstwa, dawała jednak do zrozumienia, że skoro tylko będzie mogła na chleb zapracować, od nikogo już łaski nie przyjmie. Zuzanna polubiła ją bardzo i z prawdziwą radością widziała, jak niepodobną była córka do ojca.

Czas biegł szybko i Artur po raz ostatni przyjechał z Winchester na wakacye do domu. Był to już teraz młodzieniec silny, wysoki, kształtny, a miły i żywy jak dawniéj.

Zaledwie wysiadł z powozu i uścisnął matkę, Zuzanna po jego twarzy poznała, że mu się coś nadzwyczajnego przytrafiło. Istotnie był to jeden z tych dziwnych trafów, które w powieści wydają się nam nieprawdopodobne a w życiu tak często się zdarzają.

Do jednego z młodszych kolegów przyjechał raz dziadek; wszyscy z początku mieli ochotę wyśmiewać się z jego dziwacznéj postaci i amerykańskiego akcentu, poznawszy go jednak bliżéj, polubili starego oryginała.

— Nie wyobrażasz sobie mateczko, jakie on pyszne opowiadał historye!—mówił Artur z tajemniczą miną — chciał się dowiedzieć, jak my się wszyscy nazywamy, ale skoro usłyszał moje nazwisko, krzyknął zdziwiony. Zgadnij, mamo, kto to był?

— Doktor Franklin!—z radością zawołała pani Trevena— a więc on żyje. Jakże się cieszę!

— Żyje, a jaki dobry i poczciwy! Powiadam ci, mateczko, że koledzy mało go na rękach nie nosili. Bardzo polubiłem mego chrzestnego ojca.

Doktor Franklin zjawił się w Tawton Magna sam we własnéj osobie i został tak serdecznie przyjętym przez państwa Trevena, jak gdyby należał do rodziny. Przez te lat ośmnaście mało się co zmienił; zawsze był równie chudy, niezgrabny, szorstki i poczciwy jak dawniéj. Zuzanna patrzyła na niego uśmiechnięta i rozradowana; zdawało jéj się, że te lat kilkanaście przeszły jak sen, że to wczoraj siedziała sama wśród wiecznych śniegów góry Św. Gotarda, smutna i znękana, bez nadziei szczęścia w życiu.

— Patrz na niego, doktorze—mówiła, wskazując z dumą na Artura, który bawił się z psami—kto byłby przypuścił, że to niemowlę, ocalone przez ciebie od śmierci, wyrośnie kiedyś na takiego pięknego młodzieńca?

— Już to oni wszyscy rosną, proszę pani, nie można sobie dać z nimi rady. Moich dziesięcioro bębnów także wyrosło na ludzi, a z niektórych doczekałem się nawet wnuków.

Opowiedział pani Trevena, że najstarsza córka, a zarazem najpiękniejsza, „zupełnie podobna do matki", poszła zamąż za bogatego angielskiego baroneta i właśnie jéj synek został niedawno oddanym do Winchester.

— W Arturze chyba także płynie krew szlachecka—zauważył doktor—wygląda jak paniątko. Można pani powinszować takiego syna.

— Dziękuję ci, doktorze—z wdzięczném spojrzeniem rzekła Zuzanna.

Ona to samo myślała, że można było dziękować Bogu za takiego syna: Artur był światłem jéj oczu, błogosławieństwem życia, chlubą jéj i pociechą.

Tak rozmawiając szli przez aleje parku otaczającego pałac w Tavton Abbas. Artur biegł przodem na wyścigi z psami, gwiżdżąc od czasu do czasu wesołą piosenkę studencką.

— Szczęśliwe musiały to być lata dla pani—rzekł doktor Franklin, patrząc na pogodne i świeże oblicze Zuzanny—czy... ta kobieta nie zgłaszała się kiedy do pani?

— Nie, a pan nie słyszałeś już o niéj?

— Owszem—przyznał nieco zakłopotany—nie chciałem z początku mówić pani o tém, ale lepiéj żebyś wiedziała. Dwa lata temu w jednym z nowoyorskich dzienników ukazało się ogłoszenie. Proszono w niém doktora Franklina, żeby dał swój adres; uczyniłem zadość temu żądaniu i wkrótce potem

dostałem list, w którym domagano się wiadomości o dziecku urodzoném w Andermatt.

— Cóż pan odpowiedziałeś?—spytała pani Trevena drżącym ze wzruszenia głosem.

— Nic nie odpowiedziałem. Nie chcę już mieć do czynienia z tą kobietą.

— O, dziękuję panu! Czy masz ten list? Jakiż jest adres?

— Moja żona go ma; adres jest do jakiejś szwaczki w Londynie.

— W Londynie!—Zuzanna zadrżała z niepokoju; było to tak blizko.

— Może ta kobieta była biedną szwaczką, w nędzy, bez dachu nad głową i sprzedając swoje dziecko, chciała je uchronić od głodowéj śmierci;—rzekła po chwili.

— Co znowu! Czy Artur wygląda na syna wyrobnicy? Nie, ona zresztą siebie tylko miała na myśli, o dziecko nie dbała wcale. Zawsze mówiła o sobie, że jest genialną kobietą, prawdopodobnie śpiewaczką, albo aktorką.

— Śpiewaczką?... W takim razie Artur odziedziczył po niéj talent — słuchaj pan tylko.

Chłopiec śpiewał właśnie *Dulce domum*, a świeży jego głos, znacznie już wyrobiony, dźwięczał donośnie wśród zielonych gęstwin parku.

— Namiętnie kocha muzykę—dodała pani Trevena—ale usuńmy się, lady Damerel jedzie powozem.

Skręcili na boczną ścieżkę, gdzie rozłożyste konary drzew skryły ich zupełnie przed oczyma dziedziczki Tawton Abbas. Artur, który szedł naprzód, stanął na widok powozu i z wdziękiem uchylił kapelusza. Lady Damerel grzecznie odpowiedziała na ukłon pięknego młodzieńca, który patrzył na nią śmiało, bynajmniej niezmieszany jéj nagłém ukazaniem się.

— Biedna kobieta!—rzekła pani Trevena do doktora—straciła kilkoro dzieci i mieszka w pałacu sama, ze starym i chorym mężem.

— Hm! to jeszcze pytanie, nie wszystkie matki dbają o swoje dzieci... Ale wracając do listu téj kobiety, czy mam go przysłać pani? Wprawdzie nie jestem pewny, czy go moja żona nie spaliła...

— Byłoby to najlepiéj—żywo pochwyciła pani Trevena—Arturowi nicby z tego nie przyszło.

— Naturalnie, nie dba on wcale o swoję matkę.

— Ja jestem jego matką—z godnością rzekła Zuzanna.

— Masz pani słuszność, innéj znać nie powinien.

W kilka dni po téj rozmowie, doktor Franklin praktyczny, jak zawsze, zapytał swego chrzestnego syna, jaki sobie zawód obiera. Artur się zarumienił i zawahał; matka, biorąc to za objaw nieśmiałości, wyręczyła go w odpowiedzi.

— Mój syn zamierza, po skończeniu szkół w Winchester, iść na wydział matematyczny do Oxfordu.

— Jabym wolał zostać artystą, mamo—rzekł zakłopotany Artur.

— A toż co nowego?—zawołał doktor, śmiejąc się—czy myślisz chodzić ze skrzypeczkami po dziedzińcach, czy też zostać śpiewakiem w jakiéj prowincyonalnéj trupie?

Bronią śmieszności najdotkliwiéj rani się młode serca; Artur aż pobladł z gniewu, ale zdołał się pohamować i odrzekł spokojnie, że jeden z przyjaciół radził mu poświęcić się zupełnie muzyce i uczyć się jéj w berlińskiém konserwatoryum.

— Czyim kosztem?—sucho zapytał doktor.

— Nie wiem, nie myślałem o tém — odrzekł Artur, rumieniąc się.

— Powinieneś był pomyśleć. Ile masz lat?

— Ośmnaście. Na przyszły rok miałem iść do Oxfordu. Cóż ty na to, mamo?

Nic mu nie odpowiedziała, boleśnie dotknięta niespodziewanym zamiarem chłopca. Nigdy nie wymagała od niego ślepego posłuszeństwa i tłumaczyła mu zawsze dlaczego żąda, żeby poszedł za jéj wolą. Artur dotąd ulegał jéj we wszystkiém, zawsze spowiadał się jéj ze swoich myśli i planów, nic nie przedsięwziął, nie poradziwszy się jéj przedtém.

W téj chwili rozległ się głos profesora: „Zuzanno! Zuzanno!" Pięć minut nie mógł pan Trevena obejść się bez żony; ona wiedząc o tém, natychmiast pospieszyła do niego.

— Kochającym jesteś synem istotnie, żeby taką boleść sprawić matce—rzekł ostro doktor Franklin.—Cóż ty myślisz, że twój ojciec będzie w stanie utrzymać cię zagranicą przez lat pięć lub dziesięć?

Artur bardzo lubił swego chrzestnego ojca, ale na te słowa krew gorąca falą uderzyła mu do twarzy.

— Nie wiem, co pan chcesz powiedzieć—odrzekł z godnością — nie miałem zamiaru martwić mojéj matki i pragnąłbym jaknajprędzéj pracować na siebie.

— Masz słuszność, mój chłopcze. Młodszy byłem od ciebie, kiedy na chleb już zarabiałem. Zacząłem od tego, że byłem uczniem w aptece, ale my w Stanach Zjednoczonych zawsze idziemy naprzód; uczyłem się, pracowałem, no i doszedłem do czegoś. Każdy dla siebie, a Bóg dla wszystkich—oto moja zasada. Kładłem ją w głowę moim synom i teraz żaden z nich nie potrzebuje odemnie ani grosza; wszyscy pracują na siebie.

— Mam nadzieję, że i ja wkrótce nie będę potrzebował od mojego ojca—dumnie rzekł Artur.

— Bardzo dobrze, témbardziéj, że pan Trevena już jest stary i ma obowiązki względem synowicy, téj dziewczynki, o któréj mi opowiadała twoja matka. Dzielna to podobno kobietka, chce zostać nauczycielką, żeby nikomu nie być ciężarem. Bardzo to pięknie z jéj strony; w każdym razie jednak ona większe ma prawo do pomocy ze strony stryja niż ty, mój paniczu, raz jako kobieta, a powtóre, jako blizka krewna—kiedy ty jesteś tylko przybranym synem...

— Wiem—przerwał Artur, który znów oblał się rumieńcem—dobrze, żeś mi to przypomniał, ojcze chrzestny... Podobno byłeś przy mojém urodzeniu, powiedz mi, kto byli moi rodzice?

— Nie mam nawet pojęcia o tém, mój biedny chłopcze.

Obaj siedzieli na murawie pod drzewami. Doktor palił fajkę, Artur zaś siedział przy nim z rękoma splecionemi na kolanach, z wyrazem dziwnéj powagi na młodzieńczém obliczu.

— Smutna to była sprawa — dodał amerykanin — lepiéj nie myśl o tém wcale.

— Zapewne, tembardziéj, że nie jestem odpowiedzialnym za czyny moich rodziców. Chciałbym jednak wiedzieć coś o nich, bo matka powiedziała mi tylko, że znaleźliście mię w górach napół umarłego z głodu.

— Zacna kobieta!—mruknął doktor ale nie myślał jéj naśladować pod tym względem i wszystko opowiedział chłopcu.

Artur słuchał z brwią namarszczoną i coraz silniéj zaciskał ręce.

— A więc moja matka sprzedała mię za dwadzieścia funtów!—zawołał z goryczą—ja jestem dzieckiem kupioném!

— Tak, sprzedała cię—odrzekł doktor. Miał już dodać, że chce go teraz odkupić, ale przypomniał sobie prośbę pani Trevena, żeby nic nie mówić Arturowi, i zamilkł.

Ukazanie się państwa Trevena położyło koniec rozmowie, która się już nie powtórzyła, choć doktor Franklin kilka dni jeszcze spędził w Tavton Magna. Lady Damerel wydawała właśnie doroczną zabawę, na którą państwo Trevena otrzymali zaproszenie wraz z „synem". Amerykanin objawił chęć przyjrzenia się zblizka wiejskiemu życiu w Anglii, profesorowa posłała więc do Tawton Abbas bilecik z prośbą, żeby jéj było wolno przyprowadzić z sobą przyjaciela, który u nich bawił; w odpowiedzi lady Damerel przysłała kartę zapraszającą.

— Ja zostanę w domu, mateczko—prosił Artur, ale Zuzanna nie zgodziła się na to; widziała, że od kilku dni jest dziwnie nieswój, zamyśla się często i prawie wcale nie śpiewa, pragnęła więc żeby się trochę rozerwał.

Poszli tylko we dwoje, bo doktor Franklin z profesorem późniéj dopiero nadejść mieli. Artur, który od rozmowy ze swoim chrzestnym ojcem, okazywał matce dwa razy tyle miłości co dawniéj, prowadził ją teraz z czułą troskliwością, uważając żeby się nie zmęczyła.

— Jak pięknie się dziś ubrałaś, mateczko — rzekł pieszczotliwie—powinnaś zawsze tak chodzić.

— Ależ nie mogę nosić codzień jedwabnéj sukni—odrzekła, śmiejąc się—nie jestem lady Damerel.

— Chwała Bogu! Nie oddałbym mojéj najdroższéj mateczki za dziesięć takich jak lady Damerel.

— W takim razie muszę się pięknie ubierać, żeby nie zrobić wstydu memu synowi—z uśmiechem rzekła Zuzanna.

— Mam nadzieję, że twój syn nie zrobi ci wstydu, mateczko—poważnie odparł Artur i w krótkich słowach opowiedział jéj swoję rozmowę z doktorem.

— Postanowiłem iść na wydział matematyczny do Oxfordu—rzekł w końcu—czy jesteś zadowoloną ze mnie, mamo?

Łzy szczęścia błyszczały w oczach Zuzanny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Koniec przesilenia ministeryalnego we Francyi.—Nowy gabinet.—Jenerał Boulanger.—Walka dzienników o niego.—Po czyjéj stronie słuszność?—Ruch anarchistyczny w Belgii.—Przypuszczalne jego następstwa.—Konwencya angielsko-turecka w sprawie egipskiéj.—Nota turecka do mocarstw w sprawie kandydata na tron bulgarski.

Wśród jęków żalu, rozlegających się dokoła gruzów Opery komicznéj, wśród łez rozpaczy spadających na zwęglone ciała ofiar strasznéj katastrofy, wobec których umilkły nawet głosy namiętności politycznych, urodził się nareszcie nowy gabinet francuzki, zakończyło się długotrwałe przesilenie ministeryalne. Czy dziecko, które wśród takich pogrzebowych konjunktur ujrzało światło dzienne, będzie miało siłę do życia, czy zdoła się długo ostać na świecie—wątpimy. Pokaże się téż niebawem, czy trwoga jaka przejmowała przeciwników jenerała Boulangera była uzasadnioną; czy odgrażania się jego zwolenników były tylko czczym postrachem, czy groźbami na seryo. Były bowiem minister wojny nie wszedł w skład nowego gabinetu, który jest następujący: Rouvier, prezes ministrów; Fallières, minister spraw wewnętrznych; Flourens, min. spraw zagranicznych; Spuller oświecenia; Mazot sprawiedliwości; Ferron wojny; Barbier marynarki; Dotreme handlu; Barbe rolnictwa.

Odwagi do złożenia gabinetu z pominięciem Boulangera dodała podobno ostatecznie ta okoliczność, że prezydent rzeczypospolitéj miał się stanowczo oświadczyć przeciw niemu. Zresztą w ostatnich zwłaszcza czasach, naprzeciw dziennikom radykalnym, które namiętnie podnosiły Boulangera, wystąpiły ostro dzienniki innych obozów. „Figaro" na swój sposób przedrwiwał *niezbędnego jenerała*, twierdząc ironicznie, że przed jego ukazaniem się armia francuzka była w opłakanym stanie; nie było w niéj ani karności, ani ducha wojskowego; oficerowie zaniedbywali się, żołnierze byli źle wyćwieczeni, słowem Bóg wie coby się było stało, gdyby los nie był zesłał wybawiciela w osobie Boulangera. Samo jego zjawienie się naprawiło wszystko; jeden rozkaz, pozwalający żołnierzom nosić brody, dokonał cudu odrodzenia armii. Uruchomienie korpusu armii na próbę, porównywa „Figaro" do rozkazu podpalenia Paryża na cztery rogi, dla spróbowania, czy straż ogniowa jest w porządku. „Journal des Débats" dowodzi znów poważnie, że wszystkie reformy Boulangera dezorganizowały tylko armią. „Po siedemnastu miesiącach rządów jenerała, jesteśmy—mówi ten dziennik—nie w takiém położeniu, jakie zastał obejmując władzę ale w sto razy gorszém: mamy armią, któréj wszelkiemi sposobami usiłowano odebrać zaufanie w istniejące urządzenia, która czeka i zawsze będzie czekała na nowe, ciągle obiecywane. Czy w téj zupełnéj bezpłodności, w téj nieuleczalnéj niemocy dokonania reform poważnych i trwałych, każą nam upatrywać powód i tytuł szacunku dla jenerała?..."

Zobaczymy niebawem kto miał słuszność, i czy to już koniec karyery człowieka, którego wielu za „człowieka opatrznościowego" uważało.

Z Belgii coraz gorsze nadchodzą wiadomości. Wprawdzie podczas świeżo minionych Świąt nie zaszły żadne ważniejsze wypadki, których się spodziewano, ale ruchawka szerzy się coraz bardziéj, objęła już okrąg Liège, czego się oddawna lękano, a w miarę jéj wzrostu, wzrasta też groźba interwencyi niemieckiéj, którą takie dzienniki berlińskie jak „Kreuzzeitung" nie na żarty zapowiadają. Na interwencyą niemiecką nie mogłaby obojętnie patrzyć Francya a tak ruch belgijski mógłby się stać zarzewiem pożaru, na zapobieżenie któremu od tylu czasów wysila się dyplomacya europejska. Rząd belgijski ściąga rezerwy, powołuje pod broń gwardye obywatelskie, ale rozporządzenia te o ile świadczą o energii rządu, o tyle dają miarę wielkości niebezpieczeństwa, któremu już cała stojąca armia belgijska podołać widać nie jest w stanie.

Konwencya angielsko-turecka w sprawie egipskiéj, zawarta przez Drumonda Wolffa w Stambule, mocą któréj anglicy w przeciągu trzech lat, jeśli nie zajdą nadzwyczajne jakie okoliczności, mają opuścić Egipt, i która nadal wyklucza wszelką w tym kraju interwencyą, oprócz angielskiéj i tureckiéj, doprowadziła wprawdzie do przyjacielskiego zbliżenia się między Anglią i Turcyą, ale w Anglii złe sprawiła wrażenie. Powstają naturalnie przeciw niéj mianowicie anglicy osiedli w Egipcie, których interesa przez tę konwencyą zostały mocno zagrożone. Obok tego słychać, że Francya i Rossya mają zaprotestować przeciw artykułowi konwencyi, wykluczającemu interwencyą mocarstw europejskich w sprawie egipskiéj.

Na notę turecką, żądającą od mocarstw zaproponowania nareszcie kandydata na tron bulgarski, gabinety miały udzielić odpowiedzi, iż stosownie do życzenia Porty gotowe są zawiązać wymianę zdań w przedmiocie pomienionego kandydata. Jedna tylko Rossya odpowiedziała, że trwa ciągle w pierwotnéj swéj zasadzie: dopóki regencya dzisiejsza dzierży rządy, dopóty Rossya do żadnych narad nad przyszłym władcą Bulgaryi nie przystąpi. Porta głosi, że w takim razie ona sama od siebie kandydatów przedstawi i na swoję rękę działanie rozpocznie. Widoczny to wpływ Anglii, która wziąwszy w opiekę finanse tureckie, objęła zarazem kierunek tureckiéj polityki zewnętrznéj.

---

619) ODPOWIEDŹ na pytanie: Na czém polega sztuka zwana „brzuchomówstwem"?

Bardzo często w nocy lub we dnie słyszymy szmery, o których kierunku zdać sobie sprawy nie umiemy. Na dziesięć osób słyszących świerszcza wieczorem, dziewięć napewno nie ukaże miejsca, z którego świerczenie pochodzi, pomimo blizkości w jakiéj się owad znajduje.

Na takiém złudzeniu słuchu polega i sztuka brzuchomówstwa, czyli możność naśladowania i wydobywania głosów zdających się wychodzić z rozmaitych odległości. Można naprzykład wydobyć ton stłumiony w ten sposób, że pochodzić się zdaje z przeciwległego dachu, piwnicy lub z komina.

W przeszłym wieku pod Paryżem żył kramarz korzenny St. Gille, o którego sztuce brzuchomówczéj tyle dziwów prawiono, że zajmujący się badaniem sztuki téj uczony opat francuzki de la Chapelle, postanowił go odwiedzić. Kiedy siedział z kramarzem w pokoju przy kominie, usłyszał nagle nazwisko swe wymówione na dachu przeciwległego domu. Opat uśmiechnął się i ukazał w kierunku, z którego wołanie zdawało się pochodzić, lecz zdziwił się wielce, gdy zaraz potem usłyszał tenże sam głos wołający go to z piwnicy, to z komina, jak gdyby ktoś bawił się z nim w „chowanego". Niewidzialny, przekorny głos odzywał się to tu, to tam, a opat, pomimo iż był wtajemniczony, nie dostrzegł najlżejszego poruszenia w rysach twarzy brzuchomówcy.

Żyjący na początku tego wieku brzuchomówca, Aleksander Baltimore, potrafił do tego stopnia zmieniać głos i modyfikować jego odległość, że mógł sam jeden przedstawiać farsy, w których występowało pięć i więcéj osób. Przemiana kostyumu, maski i głosu dokonywała się tak prędko a złudzenie było tak zupełne, że niejeden z słuchaczy nie wierzył, aby wszystko to było dziełem jednego człowieka i szło naturalnym porządkiem.

Pewnego razu Baltimore szedł z przyjacielem przez jednę z większych ulic w Londynie. Przypadek chciał, że przejeżdżał właśnie wóz naładowany sianem i Aleksander zwrócił uwagę przyjaciela na wychodzący z siana stłumiony krzyk wzywający ratunku. W oka mgnieniu tłum zbiegł się koło wozu i domagał się natarczywie uwolnienia przyduszonego sianem człowieka.

Furman bożył się że o niczém nie wie, lecz jęki z wozu wychodziły coraz straszniejsze i oburzony tłum wysypał na bruk wszystkie siano, by ocalić mniemaną ofiarę. Nie znaleziono rozumie się nikogo. Aleksander tymczasem, korzystając z ogólnego zdumienia, ulotnił się nieznacznie.

Jednym z najzręczniejszych, żyjących dziś brzuchomówców jest Fryderyk Maccabe, niemający równego sobie w naśladowaniu rozmaitych głosów.

Maccabe oznajmia naprzykład zebranym ludziom i dżentelmenom, że rozmawiać będzie z siedzącym na galeryi Johnem. Klaszcze w ręce i patrząc do góry, woła:—Héj! John, czy tam jesteś? Żadnéj odpowiedzi.—Pytam cię, John, czy możesz mnie słyszyć?—Nie sądzę, aby kto był na górze; odzywa się nagle gruby głos z pierwszych rzędów krzeseł. Brzuchomówca, udając zdziwienie, prosi mniemanego jegomościa z grubym głosem o nieprzerywanie rozmowy, klaszcze znowu i pyta Johna.

— Dałbyś pokój tym niesmacznym żartom, woła znowu piskliwy głos kobiecy, zdający się wychodzić z środka sali. Maccabe przywołuje grzecznie do porządku, lecz słowa jego zagłuszają inne głosy, odzywające się w różnych punktach sali. Powstaje ogłuszający chaos głosów, jak gdyby kilkanaście osób śmiało się i szydziło z brzuchomówcy. Przywołują go śród oklasków, lecz wrzawę widzów zagłuszają szyderstwa i śmiechy, udane tak doskonale, że nikt z obecnych nie widzi najmniejszéj zmiany w ustach i w twarzy brzuchomówcy.

Pewnego razu Maccabe znajdował się na jarmarku w okolicy Kerry. Spotkawszy na ulicy handlarza jadącego na ośle, wdał się z nim w rozmowę i zapytał go jaknajobojętniéj, ile może mieć lat jego osieł.

— Ma czwarty rok, mówi handlarz. Ledwie to rzekł, aż tu daje się słyszeć głos ośli: Kłamie, mam lat dziewiętnaście. Maccabe odskoczył jakby piorunem rażony, a handlarz przerażony zawołał: Miłosierne niebo! osieł gada!

Figle tego rodzaju nie są niczém nadzwyczajném i każdy posiadający zdrowy organ głosowy i dar naśladownictwa, może wprawą dojść do brzuchomówstwa. Nazwa zaś powstała ztąd, że dla słyszących głos udany wychodzić się zdaje z brzucha mówiącego, w rzeczywistości jednak głos wychodzi z krtani.

620) PYTANIE: Czy masło sztuczne może zastąpić naturalne?

Ze skarbca prawd. Wojna stwarza szlachetnych bohaterów ale równocześnie stokroć liczniejszych przestępców i zbrodniarzy.

SZARADA.

Pierwsza, zwykle cichość nakazuje;
Pierwsza z drugą, w gęsiach się znajduje;
Druga z trzecią, różnorodna bywa:
Czasem dobra, szczera lub zdradliwa,
Inną do ratunku używamy,
Jeszcze inną, jako władzę znamy;
Wszystka, ku zalawie może służyć,
Jeśli kto takowéj zechce użyć.

REBUS.

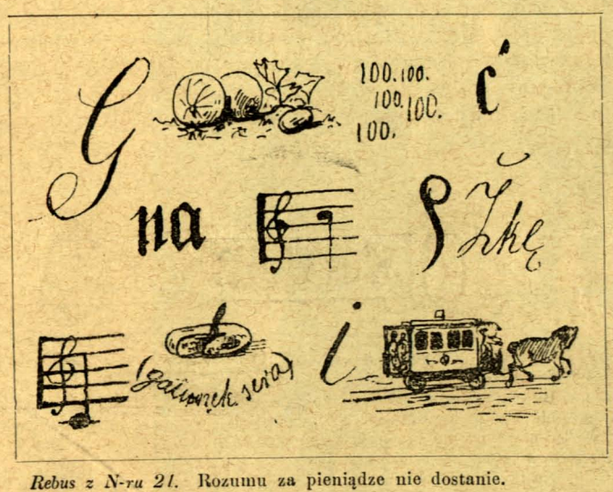

Rebus z N-ru 21. Rozumu za pieniądze nie dostanie.

Pewien niepowołany rycerz pióra, który wyzwał na rękę już kilka osób nie chcących uznać jego talentu, przesłał raz Dumasowi utwór swój, prosząc o przejrzenie i wytknięcie błędów, jeżeli są jakie. W kilka dni potem Dumas odesłał rękopism z temi słowami: „Przejrzałem szczegółowo i pozostawiam panu wybór broni."

Paryżanin.

— Ach, kochany panie, coza gorąco u nas — 33 stopnie w cieniu.

— Prawda, to rzecz dziwna, taka wysoka temperatura w takiém miasteczku... co innego w Paryżu.

Dobra znajomość.

Pewien jegomość z prowincyi zaprzyjaźnił się przy kieliszku z jakimś elegantem warszawskim. Powracając razem do hotelu, jegomość spostrzegł, że zapomniał klucza w handelku.

— Nic nie szkodzi — odpowiada elegant — mam wytrychy.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Urządzić barometr nieomylny a najtańszy. W 60 granach alkoholu rozpuścić: kamfory 8 gr., saletry 2 gr., soli amoniakalnéj 2 gr.. i rozczyn ten wlać do rurki szklanéj lub wązkiéj butelki. Jeżeli rozczyn pozostaje czystym—można być pewnym pogody; zmiana powietrza zapowiada się przez małe gwiazdeczki w rozczynie a na burzę traci on wszelką przezroczystość i mąci się w całém naczyniu.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Usposobienie rynków zbożowych ciągle utrzymuje się na stopie obiecującéj dla rolników. W Nowym Yorku, zkąd zwykle wychodzi hasło co do cen zbożowych, ustaliła się zwyżka. Rynki angielskie, przy niepogodach i małych dowozach, usposobione były bardzo dobrze. Francya widocznie już będzie potrzebowała ziarna zagranicznego, co odbija się na zwyżce cen. W Niemczech zarówno pszenica jak żyto idą w górę; nawet w Wiedniu i Peszcie ceny trzymają się mocniéj.

Ukonstytuowanie się gabinetu francuzkiego bez udziału jenerała Boulangera wywarło bardzo dobre wrażenie na giełdy, a mianowicie na berlińską; wszystkie wartości poszły w górę, a mianowicie rossyjskie, które w porównaniu do kursu przedświątecznego poskoczyły prawie o markę, kiedy bowiem w sobotę (28 b. m.) stały na 183.10, notowania wtorkowe przyniosły kurs 184.

Warszawa, d. 31 maja 1887 r. 5 % Listy Zast. (za rs. 100) 101 30.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.20.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.20.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.50.—Listy Zast. M. W. III ser. 98.75.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 93.75.—Marka niem. kop. 54; zł. r. k. 80; frank k. 42; półimperyał rs. 9 k. 30; wartość rubla w złocie k. 52.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 20.—Żyto rs. 5 k. 10.—Jęczmień rs. 4 k. 20.—Owies rs. 3 k. 15.—Groch rs. 4 k. 65.

— **na stacyi Praga.** Za pud. Pszenica rs. 1 k. 30.—Żyto k. 82.—Jęczmień k. 79.—Owies k. 83.—Groch k. 87.—Gryka k. 83.

Poczty. (P. Orsza w Wilnie). Niepotrzebnie tak żywo wziąłeś pan do serca zarzuty, jakie wydawcy gazet czynią od czasu do czasu panom ekspedytorom pocztowym za lekceważenie czyteln'ków. Rzeczą jest dowiedzioną, że niejeden wyrzeka się gazety, aby tylko uniknąć ciągłych sprzeczek i poszukiwań swéj własności, że niejeden otrzymuje numera pism innych niż te które zaprenumerował, lub poplamione, podarte. Wydawcy skarżą się nie dla własnéj satysfakcyi, żaden z nich nie chciałby dokuczać panom ekspedytorom, owszem każdy pewnie ma dla nich spółczucie, życzliwość i pragnąłby aby za swoję ciężką pracę byli jaknajlepiéj wynagradzani, ależ wydawca jak każdy inny człowiek musi bronić swojéj chudoby. Historyą poczt we wszystkich krajach służyć nie możemy, to historya długa, przekraczająca granicę pisma belletrystycznego, ale w języku niemieckim znajdzie się pewnie coś podobnego; niemcy wszystko lubią otaczać kultem dziejowym, témbardziéj, iż swojemi pocztami mogą się pochlubić. Za wzorowe uchodzą także poczty angielskie, którym trafia się list zagubić, gazety poplamić lub podrzeć, ale to zdarza się w drodze nadzwyczaj długiéj, np. z Londynu do Indyj, do Ameryki albo na inne krańce świata; wypadki podobne wewnątrz państwa należą do nadzwyczajności takich jak kometa. W r. z. ilość listów przesłana przez poczty angielskie wyniosła 1.500,000,000, a kart otwartych 172.000,000. Dodawszy do listów gazety, ogłoszenia i t. p. druki, ogół posyłek listowych przeszedł 2 miliardy 100 milionów.

W ciągu r. z. zwrócono listów, gazet i t. p. z powodu nieodszukania adresantów przeszło 13 milionów; z tych 442,000 nie odebrano z poczty. 176,000 zawierały przedmioty wartościowe i pieniądze, a 27.000 było bez *żadnego* adresu. W tych listach bezadresowych znajdowało się 93,321, fr. 50 c. w gotówce i przekazach.

Poczty angielskie ekspedyują także żywe zwierzęta i opiekują się niemi z nadzwyczajną starannością. W r. z. tylko 2 kury, 8 myszy i 2 czaple nie dojechały do Dublina; jedna kura, wysłana do weterynarza w Londynie, zdechła w drodze pomimo nadzwyczajnych starań urzędników *Post-Office* (kura z zakładu rozpłodowego ocenioną była na 500 funtów).

Na każdą skargę interesanta zarządza się natychmiast ścisłe śledztwo. Ktoś się skarżył, że przyjaciel jego nie odebrał butelki koniaku wysłanéj z Londynu; śledztwo wykryło, że koniak ten wypił lokaj odnoszący go na pocztę i panu swemu dał jakiś kwit stary. Inny się skarżył, że listów nie odbiera; śledztwo wykryło, że w mieście znajduje się trzydzieści osób tegoż nazwiska, a na liście nie było ani imienia, ani adresu domu, ani żadnéj wskazówki komu list oddać należy. Są i objaśnienia komiczne, np. „Adresant lubi bardzo róże i gwoździki"; lub „Wstaje bardzo rano i chodzi na targ z kucharką"; „Ma żonę brunetkę, a sam nosi w *kieszeni* czekoladki" i t. p.

Post-scriptum.

P. Mieczysław K. Kęp. w Nieznano. Odpowiedź natychmiast wysłaliśmy, prosząc o rękopism; widocznie list gdzieś zaginął. Uprzejmie prosimy o spełnienie obietnicy; oczekujemy i dziękujemy za pamięć.—**Sprawy literacko-artystyczne.** (P. K. O.) Obrazek z dziejów karnawału dałby się ułożyć z karnawałowych dziejów w każdém mieście; kawalerowie podobni do p. Ludomira, który nie szukał ani serca ani urody tylko posagu, rodzą się wszędzie, bo wszędzie sieje ich chęć dobrego bytu bez pracy. — **P. D. Król. w Pawłowicach.** Jedna karteczka o całém dziele nie daje wyobrażenia; wierszyk nie do druku. Sprawozdania z literatur skandynawskich byłyby dla nas pożądanemi; prosimy spróbować.—**Poznańczykowi.** Nie pisze się po polsku: *we* (w) wagonie; szukam wagon (wagonu); magicznéj *laterny* (latarni); objekta (sąsiedzi) nasi milczą; słowa posiłkowe źle są użyte w zdaniach: on heroldem cywilizacyi *jest*, one sławnemi kobietami *są*. Oj ta niemczyzna! jak już głęboko za kołnierz wlazła. — **Stanowczemu panu.** (St. Prózany.) Stanowczość jest dobra a nawet konieczna ale dopiero po głębokim namyśle; stanowczość zaś pańska, która za hasło wzięła sobie: wypędzić, zlicytować i oddać do sądu—podobną jest do stanowczości negusa abisyńskiego. On będąc na miejscu pańskiém kazałby także zabrać kożuch biednemu chłopu za to, że z podwórza ukradł garść słomy; a pan będąc na miejscu negusa kazałbyś jak on obcinać nosy żołnierzom, którzy poważyliby się zażywać tabakę wbrew zakazowi.—**P. J. N. Jodko.** Wasza pamiątka majowa z pól i z kalamarza jest dla nas prezentem najmilszym; umiecie kwiatom zachować ich barwę i kształty — żyją też one nawet wyrwane z grzędy rodzinnéj i przewiezione pod warszawskie niebo. Niechże wiosna trwa Wam najdłużéj!—**P. Z. Sup. w Kr.** Powieść tyle razy zapowiadana, jeszcze się nie drukuje. Zapomnieć byłoby niewdzięcznością za tak życzliwą pamięć.—**P. K. W. w Lub.** Próbowaliśmy ale nadaremnie; nawet pewne ustępstwa z naszéj strony nie pomogły. Komu oddać? Prosimy o pamięć.—**Sz. ks. Włost. w K.** Rzeczywiście są to gmatwaniny, jednak premium w właściwym czasie prześlemy. Pośrednik sumienny jest osobistością pożądaną i w handlu konieczną ale niesumienny to plaga. — **P. A. B.** Sonety—jeszcze nie; jest to najtrudniejsza forma. Pamiętajmy, że w sonetach Mickiewicza najświetniéj jaśnieje geniusz artysty.

Przewodnik.

Dzieło p. t. „Wiara i Niewiara" przez ks. Z. Szczęsnego (P. Marya P. w K.) Kosztuje rs. 2 k. 60. i porto stosownie do odległości. — **Welecypedy parowe.** (P. Wład. R. w Berszadzie.) Welocypedów poruszanych parą jeszcześmy w Warszawie nie widzieli i nie umiemy nic pewnego powiedzieć o ich praktyczności. Opis jest wzięty z pism zagranicznych a w opisach niejedno zbyt różowo wygląda. Sprowadzać welocypedy aż z Paryża lub Londynu byłoby marnotrawstwem. Skład welocypedów krajowych i zagranicznych znajduje się przy ulicy Marszałkowskiéj i w fabryce przy ulicy Czystéj; na żądanie cennik wyślą. — **Szkoła hr. Zyberk-Platerówny.** (P. Justyna Cęt. w W.) Warszawa ul. Piękna. Program szczegółowy otrzyma sz. pani od zarządu szkoły, którą zalecamy. Trzeba przesłać marki na porto. Nie wiemy, czego się w owém progimnazyum nauczyć można; w szkole hr. Z. P. są wykładane nauki dostatecznie kształcące umysł panny, która następnie ma żyć z pracy ręcznéj. **Adres.** (P. J. Sawicka w Żytomierzu.) P. Bronisława Nawrocka, st. kolei żel. Kowali, gub. Mińska. — **Uczniowi malarza pokojowego.** (P. S. P. w Warszawie.) Nie narzekaj pan na nizkość nagród za prace konkursowe przy wyzwolinach na subjekta — wynoszą one 5 i 10 rs., są rzeczywiście niewielkie ale znaczenie ich moralne przez to się nie osłabia. Drugą uwagę uważamy za słuszniejszą: nazwa malarzy pokojowych nie jest odpowiednią dla tych, którzy nie tylko pokoje malują ale i świątynie i transparenta, szyldy i t. p. Warto tytuł ten uogólnić i dać mu szlachetniejsze brzmienie, bo chociaż pokój jest rzeczą przyzwoitą, ale dlaczego nazwę przykuwać tylko do niego? Nad zmianą tytułu pomyślą zapewne sami malarze, pomiędzy którymi są ludzie ukształceni i utalentowani.

Listonosz na welocypedzie.

Treść numeru 596 Biesiady Literackiéj, illustracyi warszawskiéj: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (dokończenie).—Święta, opowiadanie Arweda Barine'a (d. c.)—Żywot i śmierć uczciwego człowieka.—Ś. p. Feliks Gebethner.—Lutnia warszawska.—Raptularz tygodniowy.—Listonosz na welocypedzie.—Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun" (d. c.)—Listy polityczne.—Na czém polega sztuka zwana „brzuchomówstwem"?—Ze skarbca prawd.—Szarada.—Humorystyka.—Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł, giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.—*Rysunki:* Lutnia warszawska. (Rysunek J. R.)—D-r Mikołaj Zyblikiewicz, b. Marszałek Galicyi.—Pogrzeb ś. p. M. Zyblikiewicza w Krakowie. (Podług fotografii Szuberta rysował J. Wróblewski).—Zbieranie rannych. (Obraz J. Ryszkiewicza).—Listonosz na welocypedzie.—Rebus.—„Dodatek powieściowy" **Maurytanka,** arkusz 21.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się rocznie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnemi po kop. 38, z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszéj redakcyi w monecie krajowéj lub obcéj. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcya nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcya Biesiady Literackiéj w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Мая 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy ***Władysława Maleszewskiego:*** Chmielna Nr 26.

Trudno bardzo połapać a tembardziéj spisać wszystkie znamiona hygienicznego odrodzenia, najpospolitszém jest pytanie pełne podziwu: — Jak pysznie wyglądasz! — przypieczętowane strzelistym pocałunkiem i klapnięciem w ramię z takiém zaufaniem, jakby pod paltotem była nie skóra i kości ale marmur z kopalni chęcińskiéj. Podobnym duserem uraczono i mego sąsiada, podziwiając jego czerstwą cerę i zadowoloną minę. „Nie poznaję cię—mówił amator poufałości—wyglądasz mi jak malina a przecież wiem, że...” Zaczepiony przerwał chwalcy, wskazując na pawilonik kuchni taniéj, około którego właśnie przechodziliśmy: „Oto moje źródło kastylskie, z niego czerpię zdrowie, posilając się codziennie potrawami na świeżém maśle, a za psie pieniądze.” Zaczepiony, pełen dystynkcyi w ułożeniu, mówił to tak głośno, że ściągnął na siebie uwagę przechodzących pań i panien, które nie pojmując jak można przyznać się publicznie do obiadowania w taniéj kuchni, przygryzły sobie usteczka wykrzywione sarkastycznym uśmiechem i zmierzyły młodzieńca litościwym wzrokiem. Młodzieniec spojrzenie to i uśmiechy spostrzegł, może na nie nawet polował; podniósł więc jeszcze skalę głosu swego i rzekł:

— Zarządowi kuchen tanich zarzucam wielką niepraktyczność—powinien na szyldzie swoim wypisać: „kuchnie drogie” a miałby stołowników sto razy więcéj, bo każdy pragnie uchodzić za magnata.

Uśmiechnięte panie przymówkę zrozumiały, spiesznie odeszły ku sadzawce poszukiwać w niéj napróżno sielaw z trockiego jeziora, a ja, ponieważ to był właśnie czas na wieczerzę, wstąpiłem do pawilonu, aby osobiście przekonać się o zaletach i wadach taniości...

Wstąpiłem i zacząłem myszkować po wszystkich kątach, rozpoczynając oczywiście od ogniska zastawionego garnkami i rądlami a obsługiwanego przez kucharki zwinne, tęgie, nie żenujące się tego, że na ich ręce obcy człowiek patrzy i odpowiadające grzecznie na każde pytanie w rodzaju takich mądrych: z czego się rosół robi? jak wyglądają kluski kujawskie? dlaczego pieczeń nadziewana nazywa się huzarską a nie ułańską? i t. p.

W małéj, naprędce wybudowanéj kuchence roboty było dużo a miejsca mało, każda nasza domowa kucharka w takich warunkach soliłaby rosół i pieczeń przekleństwami, nie żałując tego pudru i dla swego państwa; w kuchni zaś taniéj idzie praca składnie, cicho, wesoło, ani razu nie posłyszałem... a bodajcie!... chociaż rosół wykipiał a śmietana potrącona przez niezgrabnego gościa wylewać się zaczęła...

— To nic nie szkodzi — panie dobrodzieju — uspokajała kucharka przerażonego młodzieńca. Młodzieniec—widocznie dżentelmen — chciał za swoję niezdarność coś ofiarować na kuchnie tanie ale pani kasyerka nie była upoważnioną do przyjmowania darów, więc niezgrabiasz oświadczył, że z kwotą zwróci się do d-ra Fritschego, który opiekuje się koloniami letniemi dla bladych dzieci.

Młodzieniec, chociaż nowy paltocik poplamił sobie śmietaną i rękawiczkę skąpał w cebrzyku, dziękował jakby za jakie dobrodziejstwo i wyszedł z kuchni widocznie zadowolony, jak wychodzi student z uniwersytetu po otrzymaniu stopnia doktora a conajmniéj magistra. Pewny byłem, że to jakiś przyszły powieściopisarz, który bohaterkę swą wywiedzie z taniéj kuchni, ale gdy się od pawilonu oddalił—sąsiadki moje zaczęły szeptać między sobą tak głośno, że każde słowo słyszałem:

— To pan Karol L... narzeczony Idalki B... przyszedł zobaczyć jak wygląda życie małżeńskie w kuchni.

— Co? oddają mu córkę... ową piękną wołyniankę.

— Jest już od miesiąca jéj narzeczonym.

— Ależ bój się Boga! ona nie ma majątku, a wychowana na wielką panią, bo wiesz... rodzice wszystko stracili...

— A, to on będzie pracował na rodzinę.

— Ależ cóż on ma... zaledwie tysiąc rubli pensyi... to nędza! to nie dla takiéj panny!

Zaledwie panie wzięły na haczyk swoje języczki — wszedł do pawilonu tenże sam młodzieniec, prowadząc pod ramię śliczną dziewicę, na któréj rzeczywiście znać było dobre urodzenie i równie dobre wychowanie. Młoda para zaczęła znowu oglądać wszystkie szczegóły, garnki, garnuszki, rądle, faski z masłem, sita z sałatą i cielęce nóżki... Wszystkiém cieszyli się oboje jak zakochani...

— Jak tu czysto! jak przyjemnie! — mówiła dziewica— a jaki ubiór elegancki tych panienek, jakie ładne czepeczki i fartuszki — i coś szepnęła ukochanemu, założyłbym się, że prośbę: takie same sprawisz mi, panie Karolu... A potem, przeczytawszy jadłospis dziwili się na wyścigi, że to wszystko takie tanie, że żyć można zadarmo... Narzeczeni opuścili namiot szczęśliwi, ufni, że im dobrze będzie na świecie—z kuchni taniéj wynieśli hygienę duszy...

Patrząc na tę śliczną parę nabrałem takiego apetytu, żem sobie kazał podać co kuchnia tania posiada najlepszego: więc pieczeń z rożna, ozór wołowy, szpinaczek, małdżyki, pierożki z serem i t. p. doskonałości swojskie. Wszystko spałaszowałem z wiosennym apetytem a kiedy przyszło do płacenia nie wierzyłem swoim uszom — cała biesiada nie wyniosła trzech złotych, rachując nawet kawałek chleba za dwa grosze—na co narzekał niedawno w naszém piśmie jakiś student. Tenże młodzieniec skarżył się na twardą pieczeń ale chyba już on pod taką nieszczęśliwą gwiazdą się urodził, że mu mięso w kamień się przemienia, bo moja porcya była miękka, bez żadnéj żyłki ani kości. A choćbym ja miał zęby nadzwyczajne, wielorybie, to na świadectwo mogę powołać niemowlę, które przy sąsiednim stole posilało się z rodzicami i nianią; chłopczyk czerwony jak rydz, zawadyaka, gwałtem chciał stłuc talerz, wywrócić karafkę z wodą i zjadł całą porcyą, chociaż mu się dopiero kilka ząbków wyrżnęło. Wprawdzie miał do pomocy nianię, która utrzymując, że Piotrusiowi pieczeń bardzo smakuje, sama ciągle mełła zębami.

Może gniewacie się na mnie, szanowni czytelnicy i czytelniczki, że zajmuję wam czas kuchniami taniemi, z których nigdy korzystać nie będziecie ale kronikarz musi żyć epoką wystawową, zwłaszcza jeśli ona jest tak sympatyczną jak wystawa hygieniczna. Zresztą czyż to nie lepiéj, że zwiedzam z wami instytucye filantropijne, że zwiedzać będę szpitale, kanały, szkoły... niżbym was włóczył po cyrkach Salamońskiego, który dla popularności dał swemu nazwisku końcówkę *i* zamiast *y*, a nawet *n* zamienił na *ń*, ale zarazem z bezczelnością kazał klownowi swemu przebrać się za kapłana katolickiego. Widocznie do cyrku nie uczęszcza nasze poczciwe mieszczaństwo, ono nie pozwoliło by urągać ze sług duchownych, zegnałoby klowna, cyrk rozniosło a pana dyrektora pozbawiło zarobku; inne jakieś klasy, inni ludzie zasilają skoczków... nie zrażają się oni, że przy kasie cyrkowéj nie rozumieją polskiego języka i każą mówić obcym. Ci ludzie tak popierają interesa cyrkowe, że Warszawa już ma dwie budy tegoż samego przedsiębiercy;—dwa cyrki w mieście, które nie może się zdobyć na opłacenie wpisu za wszystkich biednych uczniów, ani na pomoc nieszczęśliwym matkom. Dwa cyrki i dziesięć tysięcy dzieci nagich i głodnych!

Tych ludzi spieszących gromadnie na oglądanie błaznów nie powstrzymałaby największa nawet nędza, nawet samobójstwo z rozpaczy; gdyby obejść cały cyrk, od jednego do drugiego gościa, z zapytaniem: Czyś dał choć grosz dla biednych dzieci? z pewnością każdy by odpowiedział—nie, albo by skłamał. Przynajmniéj d-r G. Fritsche nic od nich nie otrzymał, w sumie ofiar zeszłorocznych nie znalazłby się ani jeden grosz odjęty od ust cyrkowicza.

Piękną porę wybrał sobie na rocznicę swego uczynku ksiądz Bion, założyciel pierwszéj kolonii letniéj dla słabowitych a biednych dzieci — porę wiosny, kiedy ziemia cieszy się odrodzeniem a obłoki rozbrzmiewają śpiewem ptaszą... Corocznie dzieci modlą się za świętobliwego kapłana, corocznie filantropi wszystkich krajów powołują się na jego przykład i dzwonią na kolonie letnie. I nasz kraj od lat pięciu ma prawo wspomnienie ks. Biona, dobrodzieja szwajcarskich dzieci, otoczyć wieńcem z majowego kwiecia, bo i my mamy już kolonie letnie,

bo i my dajemy siłę biedactwu, które bez wypoczynku na świeżém powietrzu zmarniałoby jak zielsko wyrosłe w bagnistym rowie.

I w tym roku zarząd kolonij letnich porozsyłał wiosenne bukieciki, które pachną jak konwalie, jak bzy, laki i róże, chociaż to tylko bibuła zadrukowana sprawozdaniem. W téj wiązance cyfr i uwag znaleźliśmy 720 dzieci zdrowych, uratowanych od chorób a może i od śmierci; wszystkie one rumiane, zahartowane na polach i łąkach; gdyby nie ta pomoc, miałyby z nich pociechę tylko szpital i cmentarz.

Sprawozdanie skreślone przez głównego opiekuna kolonij d-ra G. Fritschego, powinno się rozchodzić w krociach egzemplarzy po całym kraju—tyle w niém myśli podniosłych, tyle rzewnych obrazów, tyle czci dla dobrych ludzi, dla zacnych kobiet; żadna rodzina nie powinna pomijać téj lektury weselszéj niż najciekawsza powieść lub najmodniejsza komedya.

Na czele instytucyi, któréj idzie o zdrowie dzieci—powinna stać kobieta, z przyjemnością też na odezwach oprócz nazwiska d-ra F., który wziął na swe barki mozolną część administracyjną — czytamy nazwisko przewodniczącéj: pani Karoliny de Bourbon Andrzejowéj hr. Zamoyskiéj. Mamy nadzieję, że jak długo kolonie istnieć będą, tak długo nazwisko szanownéj opiekunki nie zejdzie nam z oczu; my jeszcześmy się nie wyrobili na anglików, którym wystarczy statut, cel jasno postawiony i korzyści matematycznie obliczone—nam potrzeba sztandaru, przykładu, nazwiska, potrzeba głosu coby trafił do serca.

Sz. sprawozdawca schyla czoło przed panią Antoniną Mieszkowską, która do majątku swego Kozłowa, w Pułtuskiém, gromadkę dzieci obcych przyjęła jak matka przyjmuje pierworodnych, co po skończonym roku szkolnym na wakacye do domu wracają. Uwielbienie dla téj czcigodnéj pani, sprawozdawca zamknął w kilku słowach tak serdecznych, tak wymownych, że my nie siląc się na nową dla niéj aureolę schylamy także czoło przed zasługą i wołamy ze swego trójnoga literackiego: Patrzcie i naśladujcie!

Oprócz p. A. Mieszkowskiéj sprawozdanie przytacza nazwiska dobrodziejek i dobrodziejów: pań Trzetrzewińskiéj, Watsonowéj, Domaniewskiéj; panów Klonowskiego, J. Ordęgi i hr. Z. Zamoyskiego. Tylko tylu? Niestety! niema ich więcéj. Żadna z tych pań nie rozporządza milionowemi fortunami, modniarki nie wiele zapewne mają z nich pociechy, a zagranica ogląda je wtedy tylko, kiedy zdrowie lub równie ważne okoliczności tego wymagają; żadna z nich nie dobija się tytułu emancypantki — wystarcza im tytuł obywatelki, stanowisko opiekunki dzieci biednych. D-r F. ma nadzieję, że kraj nasz wkrótce będzie jak malutka Dania wysyłał corocznie na wieś dzieci 7,000; ma nadzieję, że ofiary zaczną hojnie napływać, pod adresem: „Dla biednych dzieci. Aleja Jerozolimska, n-r 80".

Kto dziecku pozwoli marnieć, ten obojętnie patrzy na pogrzeb narodu. Dania zauboga jest aby obwarowywać się niezdobytemi fortecami, zauboga jest aby wystawiać armie coby się mogły mierzyć zwycięzko z taką potęgą jak niemiecka, ale dość jest bogatą aby uleczyć corocznie 7,000 dzieci, czyli wychowywać dla przyszłości zdrowe pokolenie, któremu nareszcie Bóg pomoże.

Po odwiedzinach wystawy hygienicznéj, po odczytaniu sprawozdania o koloniach letnich, moglibyśmy powiedzieć wesoło „do widzenia" i złożyć już pióro zadowoleni ale musimy jeszcze wspomnieć o Paryżu, który przed tygodniem oglądał u siebie rodzaj Wezuwiusza—spłonął do szczętu teatr „Opery komicznéj" a w płomieniach, dymie, pod nogami uciekających zostało uduszonych, stratowanych, zwęglonych kilkaset osób, jak mówią trzecia część widzów.

Dotychczas wydobyto z gruzów przeszło sto trupów... strasznych... tak strasznych, że nawet żołnierze użyci do ich przenoszenia mdleli i drżeli jak w febrze; cały Paryż napełnił się jękami—kilkaset rodzin okrytych żałobą, nie wiedzą gdzie ich ojcowie, matki, dzieci, porywają ręce zwęglone, głowy zmiażdżone i wpatrują się w nie — czy to nie do ich najukochańszych należy... Dopytując się u tych świętych dla nich szczątek prawdy... dostają obłędu i chcą skoczyć w gruzy lub do Sekwany...

Miasto w którém miliardy idą na zbytki, nie dbało o bezpieczeństwo widzów teatralnych; „Opera komiczna" był to istny kurnik, albo kretowisko, przez które trzeba się przeciskać, był to zabytek budownictwa labiryntowego, na podobieństwo tych dzielnic starych, które od jednéj iskry spłonąć muszą całe, od brzegu do brzegu, tak są z sobą zlepione, tak pozbawione przystępu dla ratujących.

Za dni kilka jęki ucichną, zwłoki zostaną pogrzebane, obłąkanych zamkną w szpitalu, zgliszcza zakryją przed okiem przechodniów wysokim parkanem ale pozostaną sieroty... Paryż nie da im umrzeć z głodu, składki sypią się ale dzienniki nawołują do miłosierdzia wszystkie narody, słusznie utrzymując, że wszystkie mają obowiązek do wdzięczności dla miasta, które daje im rozkosz i wiedzę, rodzi bohaterskich żołnierzy i świątobliwych kapłanów...

W tak smutnéj chwili nie godzi się Paryżowi przypominać, że wydał z łona swego nie tylko wielkich żołnierzy, uczonych i kapłanów, że z jego czary narody piją także truciznę.

. . . .

Sęp.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(*Dokończenie.*)

XIX.

W tydzień po tych wypadkach panowała w dworku górskim niemała konsternacya. Major chodził szerokiemi krokami po izbie a przy progu jak winowajca siedział pan Józef; głowę spuścił na piersi i smutno patrzył w ziemię. W izbie nie było więcéj nikogo; z ganku tylko zalatywał od czasu do czasu płacz kobiet—zebrały się tam razem jak stado przestraszonych przepiórek.

— Hańba, niesłychana hańba! — wołał Major, łamiąc palce aż trzeszczały — cały ród shańbiłeś! Jak można było choćby dni kilka chodzić w pożyczanéj skorupie nędznika... a na ten czas temuż nędznikowi klejnotu swego pożyczać?... Wprawdzie pan Jędrzéj stał się narzędziem sprawiedliwości Bozkiéj... wymierzył mu zasłużoną karę... ale któż z ciebie zdejmie tę plamę, żeś publicznie został zelżonym?

— Zawiniłem—odpowiedział pokornie podsądny—ale nie byłem prawie przy zmysłach, gdy tę umowę przyjąłem; Helunia stała mi przed oczyma... teraz widzę jak ją kocham!

— Ba — shańbionego kobieta nie kocha!

— Widzę, żem wszystko przegrał!

— A któż ci grać kazał? Życie to nie gra—to praca, to obowiązki... Było napastnika na miejscu zabić!

— Nie miałem woli ani energii; nie byłem sobą—a rola nędznika przygniotła mnie jak ołowiem.

— Trzeba tę sprawę naprawić.

Major chodził znowu po izbie czas niejaki.

— Hańba hańbą — rzekł po chwili — trzeba ją zmazać; na to jest jeden tylko sposób: będziesz się ze mną strzelał!

— Z Majorem?

— Tak jest, splamiłeś klejnot. Trzydzieści kilka lat mieszkałem tu pod tą strzechą u przyjaciela a twego ojca; pracowaliśmy razem na twardéj glebie. Myślałem, że wnuki twoje będę uczył szablą robić... a dzisiaj... opuszczę tę strzechę i w świat pójdę.

— Majorze!

— Z człowiekiem shańbionym pod jednym dachem mieszkać nie można. Zresztą sąsiadom także należy się satysfakcya, któż ci rękę poda?

P. Józef zwiesił jeszcze niżéj głowę do ziemi.

— Tylko pojedynek może mnie z tobą, a może i z sąsiadami pogodzić. Będziemy się strzelać.

— Ja z Majorem?

— Tu niema Majora, jest tylko człowiek honorowy!

P. Józef oddychał ciężko; po chwili podniósł głowę.

— Jeżeli tak być musi—odpowiedział—to w Imię Boga.

I obejrzał się za pistoletami.

— Zaczekaj — to musi być przy świadkach. Weźmiemy dwóch z szlachty zagonowéj, aby widzieli i świadectwo dali...

XX.

Przez kilka dni wrzało i gotowało się w kotlinie górskiéj jak w ulu. Szlachta sejmikowała, kłóciła się i hałasowała; jedni chcieli Józefowi dać *absolutorium* ze względu, że tu zaszedł *error in persona;* drudzy kontentowali się już tém, że wekslarza wygarbował pan Jędrzéj; większość jednak ani słyszeć chciała o takiém rozgrzeszeniu. Zastaw klejnotu szlacheckiego u firmy szachrajskiéj był u nich grzechem przeciw Duchowi Świętemu, chcieli malefikanta wyzuć z czci, skazać na banicyą z gór i ogłosić za umarłego...

Piątego dnia był targ w mieście powiatowém. Szlachta zjechała się tłumnie, zapełniła salę hotelową i zasiadła do sądu.

Wszedł Major, trochę kulejący, w towarzystwie dwóch z szlachty zagonowéj.

Nastała cisza. Major zaczął mówić.

Mówił najprzód długo o klejnocie szlacheckim, potem o nazwisku rodowém, jak jedno i drugie szanować potrzeba. Opowiedział historyą p. Józefa, jak grał na giełdzie za namową szachrajów, jak wygrywał i w końcu wszystko stracił. Żywemi barwami odmalował sentyment jego do Heluni i rozpacz, która go popchnęła do kroku tak hazardownego. Na zmniejszenie winy przytoczył, że wekslarz jako ponętę smaczną okazał mu w perspektywie prusaka i jak p. Józef dał się złapać na tę ponętę.

Daléj mówił o honorze zacnego obywatela i jak ten honor doznał wielkiéj krzywdy w osobie p. Józefa. Według jego zdania wymagało to krwi... Krew popłynęła.

Obaj świadkowie zeznali, że Major strzelał się z p. Józefem i że p. Józef został draśnięty w ramię.

Po tém świadectwie żądał Major rozgrzeszenia dla swego klienta.

Głębokie milczenie zapanowało w całéj sali. Major miał łzy w oczach — p. Jędrzéj także płakał.

Nikt jednak nie wyrzekł ani słowa.

Wreszcie ozwał się najstarszy wiekiem imć pan Nieczuja.

— Romans romansem, mości panowie, ale tu chodzi *primo* o klejnot szlachecki, a potem o cześć uczciwego człowieka. Coraz więcéj grasuje u nas choroba interesów prywatnych, osłoniona niby dobrém publiczném. Wprawdzie pan Józef nie należał do tych, którzy tak frymarczą, ale *exemplum est statuendum.*

Całe zgromadzenie przyklasnęło mówcy.

— Do spółek szachrajskich wchodzić — mówił daléj Nieczuja — będzie zawsze hańbą niezmazaną. Ponieważ jednak pan Józef tego nie uczynił, tylko lekkomyślnie swe nazwisko firmie oszusta chciał sprzedać, przeto można mu przebaczyć ale pod pewnym warunkiem.

Cisza głęboka nastała.

— Ponieważ pan Józef bez pracy chciał przyjść do majątku—przeto skazany będzie na pracę. Jest koło nas majątek małoletnich, zagrożony przez lichwiarzy; pan Józef obejmie ten majątek w swój zarząd, będzie dwa lub trzy lata bezpłatnym ekonomem a uporządkowawszy interesa odda go biednym sierotom! I wtedy dopiero otrzyma rozgrzeszenie!

Huczny oklask zakończył ten wyrok.

Major wniósł tylko poprawkę, aby przez ten czas wolno było p. Józefowi raz na tydzień, w niedzielę, pojechać do Konopówki i Helunię odwiedzić.

Chciał p. Jędrzéj coś na to replikować, ale sąsiedzi rzucili się na niego i tak go ściskać zaczęli, że słowa nie mógł z siebie wydobyć.

Milczenie to wzięto za przyzwolenie.

P. Józef poddał się z pokorą wyrokowi.

Przed rozejściem się sąsiedzi wypili zdrowie imć pana Jędrzeja, dając mu tytuł „radcy najwyższego trybunału".

Żywot i śmierć uczciwego człowieka.

Pisał niegdyś Andrzéj Trzycieski „Żywot i sprawy uczciwego człowieka Mikołaja Reja z Nagłowic", czcząc go tą chlubną nazwą za to, że folgując wrodzonéj werwie a humorowi, pierwszy jął ojczystym pisywać językiem, i wyrobiwszy mu prawo obywatelstwa w literaturze, całe piśmiennictwo narodowe na rodzime tory wprowadził. Tem słuszniéj, zda nam się, miano to nadać się godzi człowiekowi, który od pierwszéj młodości aż do grobowéj deski walczył w obronie praw języka Rejowego i w obronie praw tych, co nim mówią, a tak samo jak tamten, od żadnéj uczciwéj sprawy nigdy się nie usuwał.

Urodził się ś. p. Zyblikiewicz, który i imię: Mikołaj, z Rejem miał wspólne, w Galicyi, w miasteczku Starem Mieście pod Samborem, z rodziny tamtejszéj mieszczańskiéj, w r. 1826. W szkołach już okazywał żywość charakteru i bystrość pojęcia, które mu do przejścia o własnych siłach przez ówczesny czyściec szkolny galicyjski dopomogły. Obrawszy sobie zawód nauczycielski, dzięki demokratyczno-narodowemu wstrząśnieniu w r. 1848, mianowany został profesorem historyi z wykładem polskim, w szkołach tarnowskich; atoli już w r. 1849 reakcya pozbawiła go téj posady, i zamknąwszy przed nim wszelkie widoki na tém polu, zmusiła do przerzucenia się na niezależniejsze od innych pole adwokatury. W r. 1851 uzyskał doktorat w uniwersytecie krakowskim, po kilku latach praktyki w Krakowie i Lwowie w r. 1855, został mianowany adwokatem w Krakowie. W epoce najzaciętszéj germanizacyi rozpoczął kampanią w obronie języka polskiego w sądownictwie cywilném i karném w Galicyi, a wysadziwszy z posady głównego polakożercę, nadprokuratora krakowskiego, którego weksle skupił, odniósł w końcu zwycięztwo: w r. 1860 język polski w sądownictwie galicyjskiém został zaprowadzonym.

Nie pozostał obcym ruchowi, który się około tego czasu rozpoczął, uczestnicząc w zbierających się wówczas w Galicyi kółkach ludzi, którym dobro ogółu leżało na sercu. Na zebraniach tych przedstawiał on żywioł energii, odwagi, wielkiego umiłowania dobra publicznego, ale zarazem gwałtowności prawie niepohamowanéj, która częstokroć wszelką dyskusyą z nim czyniła niepodobną. Gwałtowność ta utarła się późniéj w walkach, które staczał jako poseł na sejmie a mianowicie jako delegat i poseł do rady państwa w Wiedniu; pozostała mu energia, która głównie pomagała do osiągnięcia téj niezwykłéj sumy dobra, które zdziałał dla Krakowa jako jego burmistrz, a dla Galicyi jako marszałek sejmowy. Za jego burmistrzowstwa, Kraków ożywił się, oczyścił i pobudował; za jego marszałkowstwa przemysł krajowy w Galicyi chwycił nieco powietrza, opamiętał się, czując nad sobą życzliwą opiekę, uzyskawszy poprawę komunikacyj lądowych i wodnych i pomoc w stworzonym przez marszałka Banku krajowym galicyjskim. Poruszyła się też żywiéj pod energiczną ręką Zyblikiewicza oświata ludowa, dzięki przyjętéj przez niego zasadzie zaprowadzania jaknajrychléj i jaknajwiększéj ilości szkół ludowych, choćby nie były zrazu wzorowemi. Jako mąż wysoce praktyczny, zwykł był mawiać: Lepszy rydz, niźli nic!

To co zrobił dla Galicyi pozostawi trwałe po sobie na długi czas ślady, a wspomnienie jego otoczy uczuciem szczeréj wdzięczności i aureolą prawdziwéj obywatelskiéj zasługi. Był-

by zrobił więcéj, gdyby nie piętrzące się chwilowo na jego drodze przeszkody, które może poczęści odzywającym się w nim jeszcze niekiedy nadmiarem energii wywołał, i gdyby nie nadwątlone zdrowie, które mu brakiem sił do walki groziło a ostatecznie skłoniło do zażądania dymisyi.

Krótką resztę życia spędził w ulubionym swoim Krakowie, niby na dewocyi u księży Pijarów, w skromném, prawie ubogiém mieszkaniu, którego jedynemi ozdobami były dary, ofiarowane mu przez kraj jako burmistrzowi i marszałkowi. Zyblikiewicz na wysokich godnościach jakie piastował nie tylko nie zrobił majątku, ale stracił ten, który w krótkim stosunkowo czasie pozyskał był uczciwie, jako niezmiernie wzięty adwokat. Pozostało po nim wszystkiego dwadzieścia kilka tysięcy guldenów, które cały fundusz jego stanowiły.

Umarł jako człowiek zacny i odważny, jako prawdziwy chrześcianin, śmiało patrząc w oczy śmierci, rozporządziwszy wszystkiém, nawet co się ziemskiéj jego powłoki tyczyło. Umarł zostawiwszy żal powszechny po sobie, a rozpacz prawie w sercach tych, którzy go bliżéj znali i którzy wiedzą, że nam takich właśnie jak on ludzi brakuje.

Nader też słusznie i trafnie, na majestatycznym pogrzebie, który wydział krajowy kosztem kraju sprawił Zyblikiewiczowi, ksiądz Chotkowski wymowny głos swój poświęcony wspomnieniu nieboszczyka, rozpoczął od słów Dawida: „Azali nie wiecie, że hetman wielki poległ w Izraelu?"—A pogrzeb to był jakich nie wiele widywał nawet Kraków, który przywykł grzebać tylu ludzi zacnych i zasłużonych; pogrzeb, który rozpoczynały szeregi dziadów i babek z Towarzystwa Dobroczynności, z hr. Adamową Potocką, jako prezesową Towarzystwa na czele; na który wdzięczni rzemieślnicy ozdobny wóz sprawili pod olbrzymi wieniec, będący wyrazem ich czci dla nieboszczyka; na który zebrało się duchowieństwo wszystkich trzech obrządków katolickich istniejących w Galicyi, reprezentowanych przez najwyższych dostojników kościelnych. W egzekwiach i przeprowadzeniu konduktu pogrzebowego uczestniczyli: ksiądz metropolita lwowski obrz. gr.-katol. Sembratowicz, ksiądz arcybiskup ormiański Issakowicz, ks. Stupnicki, biskup przemyski obrz. gr.-katolickiego, ks. Solecki, biskup przemyski obrządku rzymsko-katolickiego, ks. biskup sufragan lwowski kniaź Puzyna i ks. biskup krakowski Dunajewski. Takiego zebrania kościół polski nie pamięta od czasów Zygmunta III.

Pogrzebowi towarzyszyły tłumy, a ani jedno serce nie mogło pozostać obojętném na widok trumny kryjącéj zwłoki zasłużonego pracownika. Mów było kilka, a każda wzniosła, rzewna, serdeczna. Przemawiał następca nieboszczyka na marszałkostwie, hr. Jan Tarnowski, przemawiał ksiądz Chotkowski, burmistrz krakowski dzisiejszy d-r Szlachtowski, Sawczyński kolega szkolny Zyblikiewicza, członek rady szkolnéj krajowéj i prezes Towarzystwa pedagogicznego. W imieniu prawników mówił dr. Styczeń, w imieniu rzemieślników drukarz Kornecki. Ci ostatni już bardzo krótko, gdyż niebo krakowskie rozpłakało się rzewnemi łzami a głosy ludzkie umilknąć musiały.

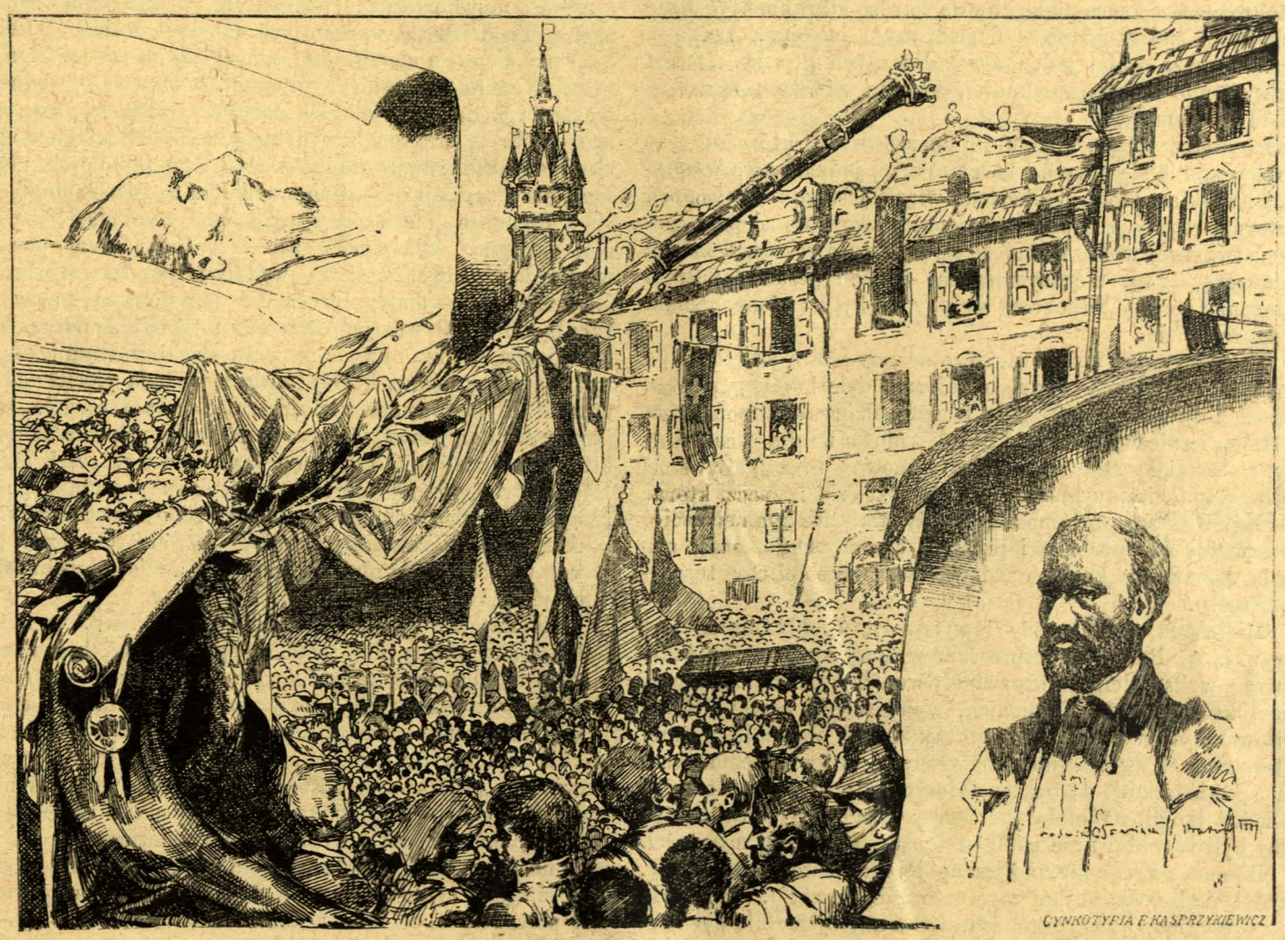

Pogrzeb ś. p. M. Zyblikiewicza w Krakowie.

Rysował L. Stasiak.

Kilka grudek mokréj ziemi na drogą wszystkim trumnę— i tłumy rozeszły się, rozpłynęły, unosząc z sobą niezatarte téj chwili wspomnienie. Wspomnienie to odżywiać będzie grobowiec, który wdzięczny kraj wzniesie niebawem na mogile nieboszczyka, a na którym zapewne zajaśnieją wyrazy, które d-r Szlachtowski w przemówieniu swojém przytoczył:

Non omnis moriar!

G. C.

ŚWIĘTA.

OPOWIADANIE DZIEJOWE

Arweda Carine'a.

(*Dalszy ciąg.*)

II.

Teresa de Ahumada odznaczała się niezwykłą urodą; miała ona postawę bogini, pełną powagi i wdzięku zarazem; cerę twarzy matowo-bladą, skorą do rumieńców; włosy czarne, wijące się nad wysokiém czołem, z którego promieniała myśl rozumna; oczy jéj wyraziste błyszczały dowcipem i żywością; głos miała dźwięczny i słodki, ruchy harmonijne, ręce białe, arystokratyczne, które pielęgnowała bardzo starannie. Postać szlachetną i pełną godności odziedziczyła po ojcu. Była to, jak się wyraża o niéj jeden z współczesnych pisarzy, „jedna z tych ciemno-włosych piękności, którym zawsze towarzyszy majestat wrodzony."

Po matce wzięła wdzięk jéj niezrównany, któremu nikt nie był w stanie się oprzeć i który tak jéj jednał serca wszystkich, że urokiem słowa i obejścia, więcéj jeszcze niż przemocą klasztornéj reguły, zniewalała zakonnice swoje do ślepego posłuszeństwa swéj woli. Wesołość jéj dokonała reszty; była ona tak szczerą, żywą, nieprzymuszoną, że pod przewodnictwem przełożonéj, córki jéj duchowe dałyby się były z uśmiechem na stos zaprowadzić.

W późnym już będąc wieku, otoczona sławą świętości, po dokonaniu wszystkich mądrych reform i dzieł wiekopomnych, udała się do jednego z swych klasztorów, gdzie zakradła się nuda śmiertelna i zniechęcenie, i taki urok wniosła z sobą w posępne mury, tak umiała stać się wesołą, wymowną i pociągającą, że rozproszyła cienie przygnębienia i smutku, zachętą i przykładem złagodziła surowość pokuty i ożywiła całe zgromadzenie, przywracając mu swobodę i prostotę ducha. Odjeżdżając zostawiła wszystkie zakonnice zadowolone, pełne otuchy i świętego zapału.

Miała ona umysł mężny i wytrwały, wyobraźnią ognistą i porywającą. Podwójne a sprzeczne wpływy wychowania, jakie odebrała, wykształciły ją i rozwinęły we wszystkich kierunkach. Ojciec, którego była ulubienicą, wpoił w nią zamłodu takie zamiłowanie do nauki, że niczego tak się nie obawiała późniéj dla towarzyszek swoich jak fanatycznych lub wrzekomo uczonych spowiedników, którzyby fałszywy kierunek pobożności ich nadać mogli. Wolała już nawet zupełnych prostaczków, byleby byli rozsądni i nie mieli pretensyi do nadętéj uczoności.

Romanse rycerskie, pożyczane jéj tajemnie przez matkę, skrzydeł dodawały bujnéj wyobraźni dziewczęcéj. Spędzała dnie i część nocy na czytaniu ich, drżąc aby ojciec nie pochwycił ją na gorącym uczynku. Następnie matka przywoływała ją do siebie i kazała jéj wspólnie odmawiać różańce i długie modlitwy, których słowa i znaczenie nieraz były dla niéj niezrozumiałemi. Ojciec dawał jéj do czytania Żywoty Świętych pełne nadzwyczajności, jak przygody ulubionych jéj bohaterów. Z zwieszoną nad księgą, młodziuchną główką pełną urojeń skrzydlatych, przysłuchiwała się szczękowi broni dziewięciu braci, zaprawiających się od dziecka do wojennego rzemiosła i zręcznego władania orężem. Zapuszczając wzrok w przyszłość, marzyła i ona także o wielkich i bohaterskich czynach, o poświęceniu bez granic dla wzniosłéj jakiéjś idei — o oddaniu życia w ofierze za cel szlachetny...

Mając lat siedm, namówiła jedenastoletniego brata Rodryga, aby udał się z nią razem do maurów dla poniesienia męczeństwa za wiarę. Oboje cichaczem wymknęli się z miasta, lecz na gościńcu spotkali jednego z wujów, który odprowadził ich napowrót do domu.

Rodryg stchórzył przed gniewem ojca i wszystko spędził na siostrę utrzymując, iż ona to nakłoniła go do tego kroku. Maleńka broniła się odważnie, dowodząc, iż postąpiła słusznie i jak przystało na gorliwą chrześciankę, że chciała iść do Boga i obrała sobie prostą drogę do Niego.

W czternastym roku Teresa zakochała się w młodym kuzynku, który wespół z kilkoma wesołymi krewniakami, dopuszczonym był do poufałości domu. Wszyscy ci młodzi chłopcy, jak to było do przewidzenia, składali swe afekta u stóp małéj, ciemno-włoséj syreny, która z wielką skruchą przyznawała się późniéj, iż wiele przyjemności znajdowała w ich rozmowie. Niebo i jego spodziewane rozkosze ustąpiły wówczas na drugi plan. Teresa powzięła zamiłowanie do świata i jego rozrywek; trefiła i skrapiała wonnościami piękne swe włosy; stała się płochą, zalotną i myśl swą zaprzątała strojami. Pod wpływem nowego nastroju ducha, namówiła Rodryga, nad którym wielką miała przewagę, do wspólnego napisania romansu rycerskiego; przechodził on z rąk do rąk i wzbudził istny podziw wszystkich, którzy go czytali.

Don Alfons tém się zaniepokoił. Beatryx już nie żyła; najstarsza córka, Marya, wychodziła zamąż; ojciec, którego Teresa była chlubą, nie czuł w sobie siły i doświadczenia, aby kierować umysłem tak niepospolitym i wyższym nad ogólny poziom. To dziewczę wyrastające zaledwie z dzieciństwa, zbyt było promiennem zjawiskiem; umysł jéj nadto był egzaltowanym. Natura jéj ognista przerzucała ją wciąż z jednéj ostateczności w drugą; z długich, mistycznych zachwytów, podczas których duszą całą tonęła w niebie, przechodziła nagle do gorączkowego niemal zamiłowania świata i jego próżności. Don Alfons, nie namyślając się długo, oddał ją na pensyą do klasztoru.

Pierwsze dnie, które spędziła pod zamknięciem, były dla niéj okropne. Klasztorne szare i chłodne mury, poza które wyrywała się myślą ognistą—wydały jéj się istném więzieniem. Nawykła do swobody, czuła się skrępowaną pensyonarską regułą. Po upływie jednakże paru tygodni, podczas których energiczna natura jéj buntowała się bezustannie — uległa wpływowi zakonnicy, któréj powierzoną była piecza nad uczennicami. Była to osoba wielkich zalet serca i umysłu, posiadająca taki dar słowa, że nawet najmniéj pobożne dziewczątka lubiały słuchać jéj, gdy im opowiadała o rzeczach świętych. Pod roztropnym jéj kierunkiem, Teresa poczęła się oddawać z zapałem nauce; zachowała jednak nieprzezwyciężony wstręt do klasztorów i zakonnéj reguły. Wśród tych uczuć właśnie, powołaną została do obrania kierunku życia, przeciw któremu duch jéj i natura się wzdrygały.

Klasztorne powołanie w XVI-ym wieku, w Hiszpanii, było ciężką próbą dla szlachetnego umysłu, który zmierzyć mógł i obrachować wszystkie trudności duchowego zadania. Religia ówczesna surową była w praktyce, równie jak i obyczaje kraju. Hiszpanie posiadali wysokie cnoty ale byli oni okrutnymi dla siebie i dla drugich; malarze z zamiłowaniem przedstawiali na płótnach swych sceny wykonania wyroków nad skazanymi. Filip IV przykazał Velasquezowi zrobić portrety czterech potwornych karłów; myśl uwiecznienia w ten sposób ułomności srodze upośledzonych od natury istot, nie mogła zrodzić się jak tylko w umyśle, dla którego uczucie ludzkości i współczucie obce były i nieznane.

Bóg, którego czcili monarchowie hiszpańscy, groźnym był i ponurym, jak królewskie ich pałace i świątynie wspaniałe a milczące w bogactwie swojém i przepychu. Był to Bóg Starego Zakonu, lubujący się w krwawych ofiarach; wzbudzał postrach i grozę w sługach swoich i ci tylko święcili Mu życie w ofierze, którzy, jak wyraża się św. Teresa, mieli nadzieję „być z Nim dobrze". Lecz w zamian ci, ku którym wyciągnął mocną prawicę swoję, z jakże bezwzględném zaufaniem i dziecięcą ufnością wesprzeć się na niéj mogli! Jakże wiernym był w obietnicach swoich, jak silnie podtrzymywał upadających, jaki raj rozkoszy niebiańskich otwierał przed olśnionym ich wzrokiem! Nawet nagrody, które obiecywał wybranym, przerażały umysł, pociągając go jednocześnie; zasadzały się one na mistycznym zachwycie, od którego słabsze głowy doznawały zawrotu; na górnych polotach ducha w sfery nadprzyrodzone; na bezbrzeżném uniesieniu wobec praw wieczystych, nagle rozjaśnionych przed wzrokiem; na przerażeniu umysłu trwogą śmiertelną; na niebiańskiém upojeniu ducha, który wyrywając się niejako z pod praw przyrodzonych, opuszczał cielesną swą powłokę, by pogrążyć się i zatopić w Bogu. Dusza wybranych

stopniowo unosiła się coraz wyżéj nad ziemię, coraz lotniejszém i śmielszém skrzydłem wzbijała się w niebiosy—z kręgów świetlanych przechodząc do coraz większéj jasności i dążąc do zupełnego zjednoczenia z Stwórcą — lecz zwycięztwo to nad ciałem okupywała zwykle cierpieniem bez miary.

Teresa de Ahumada zbyt była rozumną, aby nie pojąć, iż gody niebiańskie do których czuła się powołaną, przyjdzie okupić wszystkiém co najbardziéj ceniła i kochała na ziemi. Umysł jéj wzdrygał się przed ofiarą młodości i uczuć swoich; oparła się więc natchnieniu, które kołatało do jéj duszy; w siedmnastym roku ojciec wycofał ją z klasztoru i wprowadził w świat, usiłując rozerwać i rozbawić.

Do ważnych przyczyn, które odstręczały ją od zakonnego życia, przyłączyły się i pomniejsze: czuła ona fizyczną trwogę przed umartwieniami wszelkiego rodzaju, a książki duchowe nudziły ją i pobudzały do ziewania. Z drugiéj strony zachęconą się czuła do klasztoru tém, że zbyt niezależny miała charakter aby pomyśleć o małżeństwie; być posłuszną Bogu — to pojmowała jeszcze—ale oddać się w zależność i posiadanie człowieka... nie, na to nie zgodziłaby się nigdy! Teresa blizką była podzielenia zdania współczesnéj sobie zakonnicy, szlachetnéj Katarzyny de Sandoval, która dowodziła, że nikczemnością i poniżeniem jest dla kobiety oddać się w niewolę mężczyźnie. Zdrowym swoim rozsądkiem, którego nie pokonała nigdy lotna jéj wyobraźnia, zrozumiała, że poza obrębem małżeństwa nie było, w ówczesném społeczeństwie, innego wyboru nad klasztor, dla dziewicy tak jak ona młodéj, pięknéj, cnotliwéj, pozbawionéj macierzyńskiéj opieki a żądnéj zerwania krępujących ją pęt zależności.

Po wielu wahaniach i stoczonych z sobą samą walkach, oblanych krwawemi łzami — poprosiła ojca aby jéj pozwolił przywdziać habit zakonny. Don Alfons oparł się temu stanowczo; ta piękna, rozumna córka, któréj dzień każdy przymnażał uroku, kładąc na młodocianych licach coraz świeższe róże, a w głębi ciemnych jéj źrenic myśl coraz promienniejszą i słodszą — ta królewska istota, która czarem niewieścim pociągała wszystkie serca i oczy, nie była zaiste stworzoną do ponuréj, klasztornéj celi. Jéj trzeba było światła i życia i słońca, uczuć gorących i swobody myśli, a nie krat więziennych i włosiennicy ascety.

Tak rozumował ojciec.

Teresa zawahała się znowu, lecz Bóg wołał ją do siebie a głos ten potężny górował nad falą wezbranych żalem uczuć, które rozsadzały pierś młodą. Dnia 2 listopada 1533 r. wstała rano, i tłumiąc ból gwałtowny serca, poszła pieszo, zastukać do bram klasztoru Karmelitek, tak zwanych „Wcielenia Pańskiego", który znajdował się poza bramami miasta. „Zdawało mi się, pisała o sobie później, że kości moje odrywają się od ciała." W chwili gdy przywdziewała ciemny habit nowicyuszki, a czarne, lśniące jéj warkocze padały pod nożyczkami—spokój przywróconym jéj został i ogarnęło ją nieznane uczucie błogości. W kilka miesięcy po wyrzeczeniu ślubów, pisała o sobie: „Nie miałam jeszcze lat dwudziestu a zdawało mi się, że świat zwyciężony trzymam pod memi stopami!"

Ten okrzyk tryumfu, który wyrywa się z jéj piersi, to jak promień przewodniego światła rzucony na nieznane szlaki tajemnych dróg, które wiodą tam gdzie ustają towarzyskie prawa ludzkie, gdzie mądrość i szaleństwo zmieniają czasem nazwy, rzeczy i wyrazy odmiennego nabierają znaczenia, i gdzie człowiek małéj wiary daremnie usiłowałby podciągnąć wszystko pod prawa matematycznéj ścisłości.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Ś. p.

Feliks Gebethner.

Wieść o nieprzewidzianym zgonie ś. p. Feliksa Gebethnera, Warszawa przyjęła ze zdziwieniem i serdecznym żalem; trudno było uwierzyć aby człowiek tak czynny, tak pracowity, tak ożywiony projektami na przyszłość mógł odrazu upaść na łoże boleści i już z niego nie powstać. Żal serdeczny to żałobna, widoma nagroda za prace dla celów szlachetnych, za umiłowanie tego, co się przyczynia do pomnożenia naszych skarbów artystycznych, za to wszystko co ś. p. Feliks zdziałał jako zacny obywatel a człowiek skromny, cichy, oddany rodzinie i sprawie publicznéj.

Poza Warszawą o ś. p. Feliksie, o muzyku i miłośniku sztuk pięknych, mało kto słyszał ale w Warszawie wszyscy go znali, cenili i kochali. Czytelnicy naszego pisma poznajomili się oddawna z tą zacną postacią, bośmy nieraz o niéj mówili, bośmy każdy czyn obywatelski ś. p. Feliksa stawiali za przykład tym, którzy mogliby robić dużo dla społeczeństwa, nie pracując tak ciężko na chleb powszedni jak pracował nauczyciel muzyki.

Czynów jego teraz na nowo spisywać nie będziemy, znajdziecie je w rocznikach Biesiady, znajdziecie w zapisach jakie uczynił dla instytucyj krajowych, dla swojéj ukochanéj Warszawy. Człowiek, który musiał ciężko pracować aby dzieci swoje wychować—zebrał galeryą obrazów i starożytności i oddał ją Muzeum rolniczo-przemysłowemu; nie rozporządzając honorami ani posadami, ukwestował na Muzeum sztuk pięknych kilkanaście tysięcy rubli; cichy, skromny, miał głos wpływowy w sprawach obchodzących nietylko muzyków i malarzy.

Cześć, jaką oddano jego zwłokom, usprawiedliwiona; trumnę jego otaczali przyjaciele a całun podtrzymywały—wdzięczność, pamięć, zasługa i miłość... Taki pochód do grobu nie wskrzesił umarłego ale ukoi boleść rodziny a społeczeństwu dał świadectwo, że ludzi zasłużonych cenić umie.

B. L.

Lutnia warszawska.

Niedawno Mierzwiński donosząc „Kuryerowi Porannemu" o powodzeniu swego kolegi Reszkiego w Paryżu, zakończył list wykrzyknikiem: Mamy malarzy, muzyków, rzeźbiarzy — mamy i głosy! Tak jest — mamy, bośmy je mieli — tylko brakowało człowieka, któryby głosy te wydobył z piersi, nastroił i nauczył karności; nareszcie taki człowiek się znalazł — zwołał on chórzystów i stworzył Lutnię warszawską. Tym kunsztmistrzem jest p. Piotr Maszyński, szczęśliwszy od wielu wynalazców, od samego nawet Kolumba, bo kiedy odkrywca nowych światów musiał odpokutować więzieniem, twórca Lutni odrazu zyskał powodzenie i żywą sympatyą.

O pierwszym występie Lutni pisaliśmy w swoim czasie, dziś to samo moglibyśmy powtórzyć o występie drugim, który znowu szczelnie zapełnił salę koncertową słuchaczami. Wykonanie wszystkich utworów nowych było doskonałe, a niektóre z nich powtórzone, jak piosenka „O żołnierzu", „Luli"..., zyskały na cieniowaniu, czyli że Lutnia kształci się ciągle i postępuje. Śliczne były i inne kompozycye, zaśpiewana zaś na żądanie „Poszła Filis do ogrodu" przypomniała publiczności romantyzm w pudrowanéj peruce, dworek szlachecki, gdzie przy klawikordzie panna w papilotach drżącym głosikiem wywodziła trele. Nam przypomniała ona ś. p. Dobrskiego, który piosnkę o Filonie kochał jak wspomnienie pięknéj swéj młodości i śpiewał ją często na polowaniu, pod sosną obwieszoną śniegiem, na pniu obok którego przed chwilą przemknął odyniec.

Lutnia dotychczas należy tylko do mężczyzn, ale wkrótce podobobno będziemy mieli i Lutnię niewieścią; — zobaczymy czy ta druga będzie tak samo sforna, tak samo posłuszna swéj wojewodzinie.

Lutnia chodzi jeszcze w parciance a już sypie dukatami, nagradzając niemi lauratów konkursowych: za hasła otrzymał nagrodę pierwszą Z. Noskowski, drugą także Z. Noskowski— i na trzecią nie brakłoby znakomitemu kompozytorowi zapasu. Konkurs drugi, już ogłoszony, może nowe nazwiska wyprowadzi na widownią, chociaż i stare będą mile witane, jeśli hasła ich pójdą nam do serca.

D-r Mikołaj Zyblikiewicz, b. Marszałek Galicyi.

Urodzony 1826, zmarł 1887 r.

(Podług fotografii A. Szuberta w Krakowie.)

ZBIERANIE RANNYCH.

Obraz Józefa Ryszkiewicza, odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie imienia Józefa Kuryerowa.